TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

No. 38 | Nowy Jork, 26 września — New York, N. Y. September 19, 1943 | Cena 10 ct.

DZIŚ W NUMERZE:

STANISŁAW STRZETELSKI

PRZEŁOM W U.S.A.

I. Przed Quebec

—O wszystkich szczegółach dowiecie się Panowie najpóźniej w trzy, no, może w cztery miesiące po... zakończeniu wojny.

Tak odpowiedział pewien amerykański dygnitarz ciekawym dziennikarzom, gdy wypytywali o szczegóły decyzyj politycznych, które zapadły w czasie kilkutygodniowych narad Prezydenta Roosevelt'a i Premiera Churchilla w Quebec i w Waszyngtonie.

Dygnitarz ów miał tylko częściowo rację. Nie znamy dziś i nie prędko zapoznamy się ze "szczegółami," zwłaszcza taktycznej natury, ostatnich narad szefów polityki U. S. A. i Wielkiej Brytanji. Z drugiej strony jednak możemy już obecnie, na podstawie szeregu faktów i miarodajnych oświadczeń stwierdzić po pierwsze, w jakim zasadniczym kierunku poszły te decyzje , a po drugie, że będą one miały przełomowe znaczenie dla dalszych losów wojny i pokoju.

Aby zrozumieć sens ostatnich wydarzeń trzeba zdać sobie sprawę jak wyglądała sytuacja zanim w sierpniu b. r. doszło do spotkania Prezydenta Roosevelt'a i Premjera Churchill'a.

Powiedzmy odrazu: Z punktu widzenia niewtajemniczonego i z boku stojącego Europejczyka i Polaka sprawy przedstawiały się niejasno, a czasami wręcz — dramatycznie.

Oto przez szereg miesięcy wiosny i lata 1943 Europejczycy, żyjący w Ameryce, codziennie słyszeli przez radjo i czytali w prasie, że zdaniem wybitnych publicystów i polityków angielskich i amerykańskich istnieje tylko jeden realny sposób zaprowadzenia ładu i bezpieczeństwa w przyszłym świecie, a mianowicie ścisłe porozumienie czterech wielkich mocarstw światowych t. zn. U. S. A., Wielkiej Brytanji, Rosji i Chin.

Zaczęło się od tego, że przy dyskusji nad "Kartą Atlantycką" niektórzy publicyści wysunęli takie oto wątpliwości:

— Karta Atlantycka i "Cztery Wolności," ogłoszone przez Prezydenta Roosevelt'a, zawierają bardzo piękne i bardzo słuszne zasady. Ale polityki światowej nie buduje się tylko na pięknych hasłach. Trzeba mieć siły do ich przeprowadzenia i poczucie odpowiedzialności, które nie pozwala brać na siebie zobowiązań nie do zrealizowania.

Na wiosnę b. r. jeden z wybitnych polityków amerykańskich rzucił zdanie: — "Gdy własnemu domowi grozi ruina, nie można zużywać energji na niebosiężne plany." Coś tak jakby polskie "mierzenie zamiaru według sił."

Przez parę miesięcy zamilkła w Ameryce dyskusja na temat Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności. Powiał wiatr t. zw. realizmu i amerykańska opinja publiczna poświęciła czas i wysiłki by znaleźć odpowiedź na pytanie: O jaką "kombinację sił" powinien być oparty przyszły porządek świata? Jeden z najwybitniejszych publicystów amerykańskich, Walter Lippman, wydał książkę, w której wysunął realistyczną zasadę ostrożnego i dokładnego liczenia się z siłami, przed podejmowaniem jakichkolwiek zobowiązań.

W tym właśnie czasie oficjalni politycy U. S. A. i Wielkiej Brytanji kilkakrotnie i z naciskiem podkreślali konieczność solidarności czterech wielkich mocarstw, U. S. A., Wielkiej Brytanji, Rosji i Chin, stwierdzając równocześnie, że porozumienie tej "wielkiej czwórki" będzie miało wielkie znaczenie zarówno dla osiągnięcia zwycięstwa jak i przygotowania pokoju.

Four Big Powers... Cztery wielkie mocarstwa...

Te trzy słowa padły w chwili, gdy amerykańska opinja publiczna akurat zastanawiała się nad znalezieniem najlepszej "kombinacji sił" dla zapewnienia światu pokoju i spokoju.

I natychmiast znaleźli się usłużni komentatorzy, którzy postanowili "rozwinąć" tę myśl jako "realistyczną koncepcję pokoju". Przyjaciele Z. S. S. R. w Stanach Zjednoczonych podjęli energiczną kampanję w prasie i w radjo pod hasłem: Jedyne zbawienie świata w oddaniu całej władzy czterem wielkim mocarstwom, które podzielą między siebie "sfery wpływów" i będą czuwały nad bezpieczeństwem i pokojem.

Jakkolwiek rzecz była szyta bardzo grubymi nićmi trzeba przyznać, że początkowo wiele osób dało się nabrać na tę "realistyczną" wędkę.

Był okres taki w lecie b. r., że bardziej wrażliwi Europejczycy w Ameryce, którzy dosłownie brali zapowiedzi o tem, że w przyszłym świecie będzie tylko "4 bossów" zaczęli już pesymistycznie przebąkiwać, że właściwie szkoda się łudzić, bo klamka już zapadła. Że wbrew nadziejom wymęczonych narodów europejskich w umysłach anglosaskich zapanowała doktryna, jakżeż odmienna od zasad Karty Atlntyckiej i "Czterech Wolności". Że doktryna ta, charakteryzowana przez jej autorów jako zwycięstwo myśli realistycznej nad "mgławicowym idealizmem" nie tylko przypomina łudząco Metternicha i jego policyjne "Święte Przymierze," ale nawet, nawet zdradza pewne pokrewieństwo z niemieckimi planami podziału świata na kilka gigantycznych "Grossraumów."

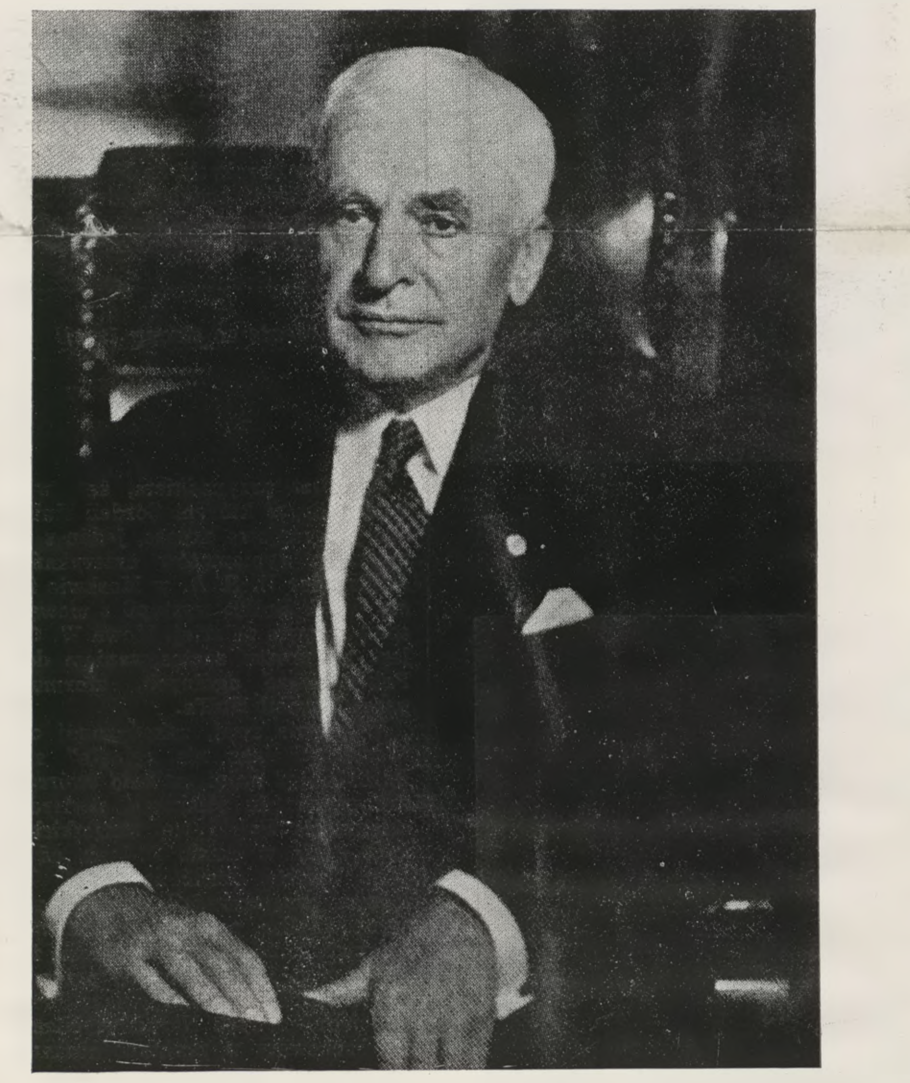
— Gdzie w tej doktrynie — pytali Europejczycy — już nie tylko Francja lub Polska, lecz wogóle Europa? Czy narody europejskie mają być w myśl formuły niemieckiego geografa Ratzel'a tylko kowadłem dla rosyjskiego młota? Czy Ameryka odkryta w r. 1493 przez Europę w drodze do Indyj zamierza Europe "przeoczyć" w r. 1943 w drodze na — Wschód?

Jeden z publicystów amerykańskich napisał jeszcze w sierpniu 1943 r.: "Zdaje się że idea, by świat miał tylko 4 wielkich bossów i powrócił do teorji równowagi sił zdobywa kraje anglosaskie. Idea ta jest kategorycznem zaprzeczeniem tego wszystkiego, co Prezydent Wilson mówił w czasie 1-szej wojny światowej." W rzeczywistości idea ta była zaprzeczeniem nie tylko programu Wilson'a, ale także tych wszystkich haseł, które świat uważa za istotny cel tej wojny.

I trzeba przyznać, że w okresie poprzedzającym narady Prezydenta Roosevelt'a i Premjera Churchill'a wielu ze spokojnych nawet i zrównoważonych obserwatorów europejskich i polskich zaczęły trapić wątpliwości i obawy: Czy aby istotnie w naszych oczach nie kruszy się ów idealizm amerykański i owa twórcza polityka, anglosaskich potęg, na które narody Europy tak bardzo liczą? Najostrożniejsi i najlepiej poinformowani przyznawali, że zjawisko utwierdzenia się jak gdyby w opinji amerykańskiej doktryny o świecie podzielonym na sfery wpływów 4 wielkich mocarstw jest wprawdzie niepokojące, ale równocześnie dodawali:

— Rozwiązanie tej zagadki polega na tem, by stwierdzić w jakim stopniu źródła tej doktryny znajdują się w Waszyngtonie i w Londynie, a w jakim w — Moskwie.

Zagadka wyjaśniła się z początkiem b. r. w okresie konferencji w Quebec.



Sekretarz Stanu Cordell Hull

II. Po Quebec

Cóż więc się stało w Quebec i później w Waszyngtonie?

Kto spodziewał się znaleźć wyczerpujące wyjaśnienia w t. zw. komunikatach i oświadczeniach oficjalnych tego musiało spotkać rozczarowanie. Tutaj całkowicie ma rację ów dygnitarz, który ogłoszenie "szczegółów" konferencji w Quebec obiecuje po — wojnie.

Więc przede wszystkim fakt pierwszy: Prezydent Roosevelt i Premjer Churchill nie czekali w Quebec na wciąż ociągających się i kapryśnych polityków rosyjskich i bardzo istotne decyzje powzięli — sami.

Pamiętamy, że uprzednio Moskwa, bez porozumienia się z Waszyngtonem i Londynem spowodowała ów słynny manifest komitetu "Wolnych Niemców", który w rzeczywistości był odrębną propozycją pokojową Moskwy pod adresem Niemiec. W Quebec U. S. A. i W. Brytanja zamiast czekać nie wiadomo jak długo, zanim marszałek Stalin zdecyduje się wreszcie jasno wyłożyć swe opinje, postanowiły stworzyć — jak się wyraził Premier Churchill w swej mowie z dn. 6 września b. r. — "niezwykle potężną maszynę", której zadaniem będzie wprowadzenie i zabezpieczenie pokoju po wojnie.

Stało się to w bardzo prosty sposób. Zadania i kompetencje istniejących już dla celów wojennych instytucji anglo-amerykańskich "połączonych sztabów" zostały rozszerzone na bezpośredni okres powojenny.

Wymowa tego faktu jest nader jasna. W okresie, gdy niektórzy spodziewali się już sprecyzowanych form, w jakich ma nastąpić podział wpływów w świecie między 4-ma wielkiemi mocarstwami, konferencja w Quebec przyniosła matematyczną niespodziankę: czwórka zmieniła się w dwójkę.

Właściwą formułę tych decyzyj można tak określić: Ameryka i Anglja zdecydowały, by jądrem, z którego będą się wykluwały istotne decyzje powojenne, była ścisła współpraca tych dwu państw..

Z formuły tej, oczywiście nie wynika w najmniejszym stopniu niechęć do współpracy z innemi państwami, a przede wszystkiem z Chinami i Rosją. Pp. Roosevelt i Churchill poświęcili w Quebec wiele czasu na wyczerpujące narady z przedstawicielem Chin, a co do Rosji, to jednem z pierwszych następstw konferencji w Quebec był fakt, świadczący wyraźnie o chęci państw anglosaskich współpracy z Rosją. mianowicie zaproszenie Rosji do śródziemnomorskiej konferencji aljanckiej.

Komisja ma na celu sprawowanie kontroli nad cywilną władzą okupacyjną w obszarach śródziemno-morskich.

Skądże jednak udział Rosji w pracach komisji, tak odległej zakresem swych prac od zainteresowań bezpośrednich Rosji? Zdaje się, że odpowiedź może być tylko jedna: Oto udział ten jest tak samo logiczny, jak będzie logiczny udział Stanów Zjednoczonych A. P. w decydowaniu n. p. spraw Europy środkowo-wschodniej...

Jak widzimy więc decyzje ostatnich konferencyj Roosevelt'a i Churchill'a nie poszły bynajmniej po drodze podziału świata na t. zw. strefy wpływów...

Aby lepiej pojąć istotę zmiany jaka obecnie dokonuje się w klimacie amerykańskiego życia politycznego trzeba bodaj pokrótce omówić kilka ważnych wydarzeń ostatnich tygodni. Oto dość spory rejestr tych wydarzeń: mowa Premjera Churchill'a, mowa gubernatora stanu New York Dewey'a, uważanego przez niektórych za kandydata na Prezydenta w r. 1944; rezolucja w sprawie polityki zagranicznej, uchwalona przez stronnictwo republikańskie na zjeździe na wyspie Mackinac; wreszcie expose Cordell Hull'a z dn. 12 września; i mowa b. ambasadora Bullit'a o sprawie polskiej.

O mowach Churchill'a i Dewey'a pisał w dniu 12 września "New York Times":

"W ciągu jednego tygodnia, dwaj wybitni przedstawiciele dwu narodów — jeden na szczycie swej karjery, drugi, o którym wielu sądzi, że znajduje się na drodze do tych szczytów — otwarcie wystąpili z propozycjami, które niedawno jeszcze wywołałyby dla jednego, proroctwa politycznej śmierci a dla drugiego utratę wpływów we własnym kraju i... propozycje te zostały z wielu stron entuzjastycznie przyjęte."

Z jakimiż to strasznymi i rewolucyjnymi propozycjami wystąpili pp. Churchill i Dewey, gdyż o nich właśnie pisze "New York Times"?

Istotą tych propozycyj w obu wypadkach była jasno sformułowana koncepcja ścisłego sojuszu i ścisłej współpracy Ameryki i Anglji po wojnie. Rewolucyjność tej koncepcji polega na tem, że, po pierwsze stanowi ona równoczesny pogrzeb pierwszej klasy dwu wiekowych doktryn: angielskiej splendid isolation i amerykańskiego izolacjonizmu, po drugie zaś przenosi punkt ciężkości w dyskusji nad organizacją jutrzejszego świata z koncepcji 4 wielkich mocarstw na koncepcję ścisłego sojuszu U. S. A. i Wielkiej Brytanji.

Na pytanie, jak opinja amerykańska rozumie zasady, na których powinna oprzeć się organizacja polityczna przyszłego świata odpowiada w pewnej mierze wspomniana rezolucja rosnącego w wpływy i sięgającego po władzę w Ameryce stronnictwa republikańskiego. Najważniejszy politycznie drugi punkt tej rezolucji, uchwalonej na zjeździe w Mackinac zaczyna się od słów:

"Odpowiedzialny współudział Stanów Zjednoczonych w powojennej organizacji współpracy suwerennych narodów dla zapobieżenia wojskowej agresji i utrzymania w wolnym świecie stałego pokoju ze zorganizowaną Sprawiedliwością."

Jakżeż te słowa, a zwłaszcza ustęp o suwerenności narodów, są w swym duchu i w swej treści różne od pomysłów stworzenia 4 super-rządów, dyktujących według własnego widzimisię ład na oddanych sobie "sferach wpływów"...

Po dłuższym okresie niejasności i błądzenia omackiem opinji publicznej, polityka zagraniczna U. S. A. wchodzi w okres krystalizacji. Ujawnione decyzje konferencji w Quebec, mowy Churchill'a i Dewey'a oraz rezolucja w Mackinac dały wiele konstrukcyjnych elementów w dyskusji o przyszłym pokoju, uspokoiły szereg obaw, ale pełne wyjaśnienie przyniosła dopiero historycznej doniosłości mowa amerykańskiego Sekretarza Stanu, p. Cordell Hull'a, z dnia 12 września b. r.

III. Mowa Cordell Hull'a

Historyczna doniosłość mowy Cordell Hull'a z dnia 12 września polega na tem, iż jest ona uczciwą i dojrzałą syntezą idealizmu Wilson'a, wskazań Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności Roosevelt'a z wymogami sytuacji politycznej.

O to właśnie najbardziej chodziło. Tego było w Ameryce najbardziej brak. Brak, który w znakomitym stopniu ułatwiał wschodnim agitatorom głoszenie "realistycznej koncepcji pokoju" z podziałem wpływów na 4 Grossraumy.

Amerykanin jest z natury swej idealistą. Ale jest równocześnie człowiekiem konkretnym. T. zw. program nie wystarcza mu, musi posiadać wizję.

Program Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności zdobył większość opinji amerykańskiej, ale nie zdołał się w niej ugruntować, bo był zbiorem zasad bez wskazania metod i dróg realizacji. Ten właśnie moment ułatwił głosicielom "realistycznej koncepcji pokoju" w krótkim czasie zdobycie w Ameryce stosunkowo poważnych sukcesów.

Dzięki swej uczciwości, konkretności i precyzji myślowej mowa Cordell Hull'a, jako oficjalnego przedstawiciela Prezydenta Roosevelt'a i rządu Stanów Zjednoczonych, wytrąciła główną broń z ręki "realistyczno-grossraumowych" agentów.

Sformułowane przez Cordell Hull'a w jego "6 punktach" zasady prawa każdego narodu, posiadającego poczucie odpowiedzialności historycznej, do niezależności, równości wobec prawa narodów wielkich i małych i suwerenności każdego państwa stanowią wyraźną, męską i zdecydowaną odprawę, udzieloną w imieniu polityki U. S. A. zwolennikom urządzenia świata policyjnymi metodami wielkomocarstwowego imperjalizmu.

Cordell Hull stanął na stanowisku swobodnego rozwoju wolnych i równych narodów w ramach międzynarodowego systemu, opartego z jednej strony na międzynarodowym trybunale, z drugiej na organizacji światowego bezpieczeństwa, która w razie potrzeby użyje siły dla obrony pokoju przed ewentualnymi napastnikami.

Bardzo istotną rzeczą jest, jak Cordell Hull rozumie poczucie "odpowiedzialności", upoważniające naród do niezależności i suwerenności, gdyż w tem jego sformułowaniu mieści się rozwiązanie trudnej sprawy pogodzenia zasad niezależności i suwerenności narodów z wymogami ładu i pokoju światowego.

Prawo do wolności i suwerenności uwarunkowane jest w koncepcji Cordell Hull'a po pierwsze: "takiem prowadzeniem własnej polityki, by nie zagrażała ona pokojowi i bezpieczeństwu innych narodów," po drugie "taką polityką gospodarczą i społeczną, któraby respektowała prawa innych i mogła stać się organiczną częścią międzynarodowego systemu gospodarczych stosunków" i po trzecie gotowością danego narodu do poddania się w razie konfliktu z innym narodem ustalonej procedurze pokojowej względnie "innym zobowiązaniom, które mogą wyniknąć jako skutek wprowadzenia światowej organizacji pokoju."

P. Hull odrzuca metody mechaniki imperjalistycznej i wprowadza w życie międzynarodową zasadę demokracji ograniczając ją formułą, którą w polskim języku politycznym moglibyśmy nazwać "rządną demokracją."

Oczywiście punkty te wymagają dokładnego sprecyzowania szczegółów i p. Hull w mowie swojej obiecuje dokonać tej pracy. Ciekawy komentarz w tej sprawie dostarcza zresztą rezolucja republikańska z Mackinac, która wskazuje, iż drogowskazem polityki zagranicznej U. S. A, winien być konstytucjonalizm, czyli zasady ustalone w Deklaracji Niepodległości, w konstytucji amerykańskiej i w Deklaracji Praw.

Co to znaczy?

To znaczy, po prostu, że U. S A. zrywają z mechaniczną koncepcją polityki światowej, opartej na grze sił i balansowanej równowadze i stają na stanowisku koncepcji organicznej, w której nie będą decydowały ilości tanków i samolotów, stojące do dyspozycji danego państwa, lecz także i przede wszystkiem wspólność idei i zasadniczych urządzeń demokratycznych.

Tak pojęty konstytucjonalizm w polityce międzynarodowej będzie miał jedno bardzo istotne następstwo: Oto najgenjalniejsi i najsprytniejsi interpretatorzy nie zdołają zmieścić w ramach tej koncepcji jako szczególnie pożądanego członka przyszłej rodziny narodów n. p. państwa totalistycznego, a więc antydemokratycznego. Państwa takie będą mogły istnieć. ale nie będą mogły liczyć na... powiedzmy łatwe uzyskanie stopnia bliższego pokrewieństwa w zorganizowanej rodzinie narodów.

To wprowadzenie legitymacji czy metryki konstytucyjno-demokratycznej jako warunku korzystania ze wszystkich dobrodziejstw przyszłej organizacji pokoju światowego, jakkolwiek dziś jeszcze szczegółowo nie sprecyzowane jest jednym z najdonioślejszych i ideowo i politycznie punktów zarysowującej się dziś amerykańskiej wizji jutrzejszego świata.

Koncepcja ta, nawiązująca do zasady Wilson'a "nie możemy zawierać aljansów z tymi którzy nie idą naszą drogą" usuwa w znacznej mierze pozorną sprzeczność między słuszną zasadą niezależności i suwerenności narodu a nie mniej słusznymi wymogami solidarności międzynarodowej. Zamast na prokrustowem łożu sztywnej doktryny bezdusznie uniformować życie każdego narodu według jednego wzoru, jak to robią państwa totalistyczne, Amerykanie ograniczają mądrze wszelkie w tej dziedzinie żądania do najbardziej zasadniczych postulatów, podyktowanych przez ogólne ludzkie pojęcia o prawie, moralności oraz o wolności i równości ludzi.

Jak widzimy więc, ostatnie ruchy amerykańskiej myśli politycznej, jak dotychczas najpełniej skodyfikowane w wygłoszonej w imieniu rządu U. S. A mowie Cordell Hull'a, prowadzą istotnie do szczęśliwej syntezy idealizmu z realizmem politycznym.

Syntezę tę osiągnął Cordell Hull w ten sposób, iż — wychodząc z założeń Karty Atlantyckiej i Czterech Wolności—uzupełnił je ogólnymi lecz bardzo jasnymi formułami funkcjonalnymi. Nie poprzestał na tym w co należy wierzyć, ale wszczął bardzo owocną dyskusję **jak** należy działać.

Mowa Cordell Hull'a z dnia 12 września oczywiście nie załatwia jeszcze wszystkiego i jak już powiedziałem pozostawia miejsce na znaki zapytania w wielu ważnych szczegółach. Jedna wszakże rzecz wydaje się być, przynajmniej, obecnie pewną: przekreślenie niedawno jeszcze tak powszechnie dyskutowanego niebezpieczeństwa "zagubienia" Europy i suwerenności mniejszych narodów w koncepcji koalicji czterech wielkich mocarstw.

Pozostaje nam teraz odpowiedź na najbardziej nas interesujące pytanie: Jak w świetle przemian politycznych przed i po Quebec wygląda sprawa polska na terenie polityki amerykańskiej?

IV Ogniwo polskie

Ani Churchill, ani Dewey i Hull w swych mowach, ani republikanie w swej rezolucji nie zajmowali się bezpośrednio sprawą Polski. A jednak wszystkie te wystąpienia w najwyższym stopniu dotyczyły Polski. Bo dziwnym zbiegiem okoliczności zarówno przyjaciół jak i wrogów Polski na terenie międzynarodowym łączy całkowita jednomyślność w uznawaniu tezy, że sprawa polska jest jedną z naczelnych probież (test cases) obecnej wojny.

Wysłuchałem niedawno na pewnem zebraniu przemówienia gorącego i usłużnego na gruncie amerykańskim przyjaciela Sowietów. Nie wymienił ani razu słowa Polska, a cała mowa była jedną napaścią na Polskę. Mówił o "zgubnych ambicjach mniejszych narodów" i tak "śmiesznych" dążeniach" do t. zw. suwerenności, o konieczności oparcia pokoju na sile 4 wielkich mocarstw, o potrzebie "strategicznego zabezpieczenia" tych mocarstw. I wszyscy słuchacze doskonale zrozumieli o co chodzi, mimo, że mówca ukrył polską "test case" w szyfrze uniwersalnej polityki.

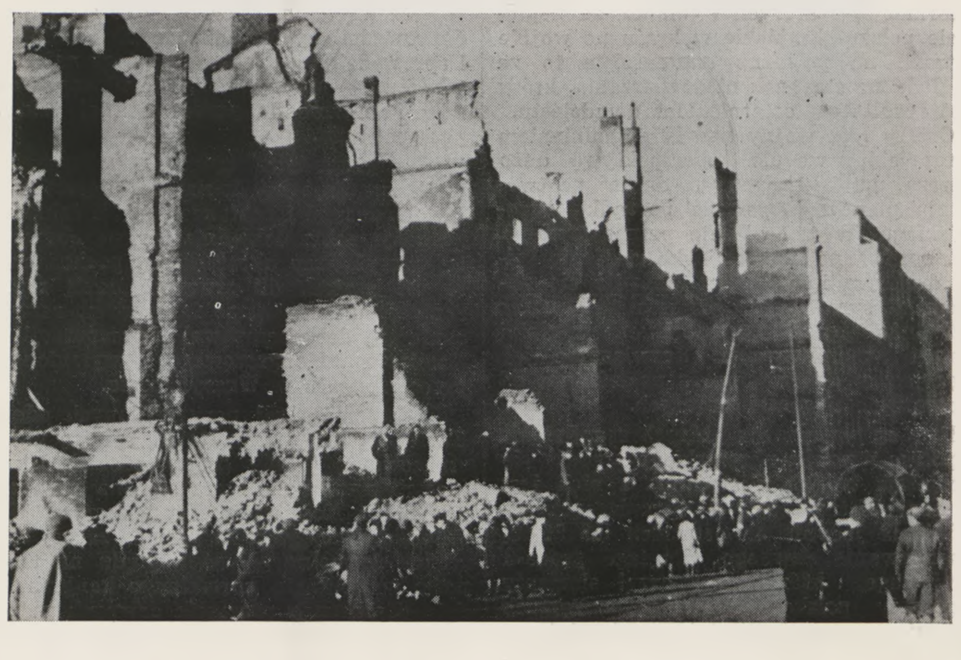
Z drugiej strony jasną jest rzeczą, jak doniosłe, a w pewnej mierze przełomowe, znaczenie dla sprawy Polski miały ostatnie wydarzenia w polityce U. S. A., a zwłaszcza mowa Cordell Hull'a, która zawiera oficjalne sformułowanie programu rządu amerykńskiego bez wzmianki o Polsce.

W ciągu długich miesięcy wiosny i lata b. r. Polacy w Ameryce przeżyli wiele chwil przykrej niepewności i dręczących obaw. Rosja Sowiecka, korzystając z sytuacji wojennej i dufna we wpływy swego olbrzymiego aparatu propagandowego przypuściła generalny szturm, by już w czasie wojny, uzyskać jeżeli nie poparcie, to milczącą zgodę Ameryki na swe żarłoczne plany podbojów terytorjalnych. By ukryć cynizm swych żądań, agenci sowieccy na terenie U. S. A. wystąpili pod maską strawniejszej "koncepcji realizmu politycznego," odrzucającego zasady wolności i równości narodów, ducha i treść Karty Atlantyckiej, jako rzekome przeszkody na drodze do zorganizowania trwałego pokoju. W dyskusji, jaka na tem tle rozwinęła się w U. S. A., rzadko mówiło się o Polsce, ale my wszyscy wiedzieliśmy, jak złowróżbną dla naszej ojczyzny treść posiadają pozornie ogólnikowe formułki propagatorów "polityki celowej siły" i "realizmu." Wierzyliśmy, że w ostatecznym rezultacie zwyciężyć musi mądrość stanu polityki U. S. A. oraz zdrowy i szlachetny instynkt społeczeństwa amerykańskiego, ale nie sposób zataić że przynajmniej w dyskusji publicznej aż po konferencję w Quebec szale niepokojąco się ważyły...

Przechyliły się wyraźnie we wrześniu, gdy zarówno ze strony rządu U. S. A. jak i przedstawicieli opinji publicznej padła męska i obowiązująca decyzja: — Nie cofniemy się z drogi obrony w życiu międzynarodowem prawa i moralności oraz wolności, równości i suwerenności narodów.

Dokończenie na str. 2-ej

*) Artykuł ten równocześnie ukazuje się w tygodniku wojskowym "Biały Orzeł" w Bagdadzie.



JEDNA Z LICZNYCH WSTRZĄSAJĄCYCH ILUSTRACJI

ZNISZCZEŃ WARSZAWY

które ukażą się w numerze

"TYGODNIKA POLSKIEGO"

POŚWIĘCONYM WARSZAWIE

Numer ten będzie wydany w potrójnej objętości i w dziesięciokrotnie zwiększonym nakładzie oraz rozsyłany do najwybitniejszych Amerykanów wszystkich kół społecznych i zawodowych.

Zamawiajcie numer warszawski dla swych przyjaciół Amerykanów.

Zamawiajcie specjalne ogłoszenia - wizytówki (imię, nazwisko i adres) w dziale sponsorów tego pamiątkowego numeru.

Cena ogłoszenia: $2.50

JÓZEF LIWSKI

"MESSAGE OF SYMPATHETIC GOODWILL"

Ilekroć w prasie polsko-amerykańskiej, czy ukraińskiej podnoszone są zagadnienia dotyczące stosunków polsko-ukraińskich, tylekroć pisze się o nich, jako o sprawie wysoce skomplikowanej, zawiłej, niemal niemożliwej do rozwiązania. Przez długi okres czasu sprawy polsko-ukraińskie pomijane były milczeniem, niekiedy tylko w prasie amerykańskiej pojawiały się krótkie informacje, z których wynikało, że współżycie polsko-ukraińskie w kraju po wojnie natrafi na poważne trudności a to ze względu na stosunek niedowierzania, który jest rezultatem ostatnich lat dwudziestu.

Cztery lata wojny nadały zagadnieniom europejskim wogóle perspektywę dużo szerszą, umożliwiającą już dzisiaj na tworzenie planów przyszłego porządku europejskiego. W tej właśnie perspektywie t. zw. sprawa polsko-ukraińska staje się tylko drobnym incydentem, okazuje się bowiem, że spraw tego typu w całej Europie jest dużo więcej i są one nieraz bardziej jeszcze skomplikowane. Rozwiązanie jej więc jest w dużym stopniu uzależnione od rozwiązalności spraw szerszych.

Dwa są powody dla których zagadnienie współżycia polsko-ukraińskiego wydaje się specjalnie trudne. Pierwszym z nich jest moment historyczny — ograniczenie zagadnienia jedynie do ostatnich lat 20-tu, zapoznawanie dawnego, długiego procesu dziejowego, który wytworzył elementy wspólnoty polsko - ukraińskiej w ramach dawnej Rzeczypospolitej i bynajmniej zakończony nie został, był tylko przerwany. Drugim powodem jest brak dostatecznego zrozumienia dla przemian, które zachodzą nie tylko w mentalności przeciętnego Ukraińca, przeciętnego Polaka, ale — wśród wszystkich narodów Europy. Zagadnienie przyszłego porządku dotyczy przede wszystkim stworzenia takiej struktury politycznej, która zapewni wszystkim obywatelom określonego państwa pełnię wyżycia się materjalne i duchowe. Pełnia dobrobytu materjalnego i wewnętrzne zadowolenie z udziału w pracach własnej wsi, w budowie własnych osad są o wiele ważniejsze dla zmęczonego wojnami obywatela Europy, aniżeli często teoretyczne rozważania na tematy polityczne. O "trzeciej wojnie" marzą dziś tylko zawodowi politycy poślednejszego gatunku i ci, którzy już dzisiaj zaczynają myśleć o odwecie. Z tego punktu widzenia blednie również zagadnienie mniejszości narodowych, jeżeli staniemy wobec konieczności uszanowania praw i dopuszczenia do wszystkich obowiązków każdej jednostki, każdego obywatela.

Dlatego też nieszczęśliwe jest rozwiązywanie bądź co bądź trudnych zagadnień ukraińskich w Polsce z punktu widzenia mniejszościowego. Przyszła Rzeczypospolita niewątpliwie zapewni wszystkim swoim obywatelom pełnię prawa na ziemi, która jest im wspólna.

Idąc dalej po tej linji rozumowania, przekonamy się z łatwością, że, stanowiące dzisiaj przedmiot najgorętszych dyskusyj aspiracje polityczne społeczeństwa ukraińskiego w Polsce zdecydowanie straciły na ostrości. Ten realistyczny punkt widzenia jest nieodzowny przy każdej koncepcji powojennych układów. Nie znaczy to bynajmniej, aby lekceważyć ukraińskie dezyderaty polityczne, opierające się na niewzruszalnych jak dotąd zasadach zjednoczenia i niepodległości Ukrainy. Musi jednak nastąpić modernizacja, korektywa tych pojęć, znowu bez najmniejszego jednak uszczuplenia ich znaczenia. Każdy obywatel amerykański, który w swem mieście, miasteczku czy osadzie spotyka się i współpracuje z przedstawicielami innych grup narodowych, nawet takich, które zaciekle od lat walczą ze sobą w Europie, przyzna, iż uregulowane formy współżycia, szeroko idący samorząd terytorjalny całkowicie niemal ograniczają spory polityczne, budząc zainteresowanie tymi sprawami jedynie z punktu widzenia korzyści zbiorowej. Z drugiej strony wniknąć należy głębiej w pojęcie niepodległości. Uregulowane formy współżycia w drodze dobrowolnej zgody wszystkich mieszkańców czy obywateli określonego państwa zawierają w sobie duży zakres niepodległości. Ktoś powiedzieć może, że nie jest to pełna niepodległość. Będzie to jednak argument demagogiczny, narody Europy znajdowały swą niepodległość nie tylko w państwach narodowych.

Uwagi takie budzą się w związku z obecną sytuacją polityczną społeczeństwa ukraińskiego w Stanach Zjednoczonych. Podobnie jak przed kilkoma miesiącami w Kanadzie, społeczeństwo to staje w tej chwili przed egzaminem. Idzie tu o stworzenie wspólnej reprezentacji, o wybranie ciała zbiorowego, które mogłoby o sobie powiedzieć, że jest wyrazicielem większości opinji ukraińskiej w Stanach Zjednoczonych i za opinję tę ponosi pełną odpowiedzialność. Sprawa jest poważniejsza w chwili obecnej, aniżeli przed Kongresem Waszyngtońskim z 1940 r. Kongres Ukraińców w Waszyngtonie odbywał się w momencie pełnej dezorientacji politycznej, której wina nie leżała tylko po stronie Ukraińców. W tych warunkach oczywiście nie pozostawało nic innego, jak nawrót do starych zasad politycznych w ich konserwatywnej interpretacji. Wychodzi poza zakres niniejszych rozważań krytyka uchwał czy orientacji politycznej Kongresu w Waszyngtonie. Dociekania te zresztą nie doprowadziłyby do pożądanych rezultatów i sprowadziłyby dyskusję na tory najmniej właściwe — na wypominanie własnych błędów i nawrót do przedwojennej taktyki postępowania.

Międzynarodowa sytuacja polityczna i wojskowa daje już dzisiaj realniejsze możliwości decyzji i postanowień. Z faktu tego zdają sobie dokładnie sprawę obywatele amerykańscy ukraińskiego pochodzenia, to też postanowili stworzyć nową reprezentację ukraińską, po faktycznem rozwiązaniu się dotychczasowej reprezentacji — Komitetu Kongresowego, wyłonionego przez Kongres w Waszyngtonie.

Z dwuch do tej pory wydanych odezw Komitetu, który zajmuje się sprawą ukonstytuowania "Rady Amerykańskich Ukraińców" wynika, że stara się ona nawiązać ciągłość z Komitetem Kongresowym. Wydaje się, że ciągłość ta posiada raczej charakter formalny — ze względu na trudności w zwołaniu normalnego kongresu idzie poprostu o przejęcie dawnych pełnomocnictw. Forma jest tu jednak zupełnie obojętna, ważniejsza jest sprawa, czy Rada Amerykańskich Ukraińców zajmie się rewizją dawnych rezolucyj waszyngtońskich. Przypuszczać należy, że to nastąpi; wydaje się bowiem, że okres trzech lat ostatnich wniósł tyle nowych zagadnień w sprawy ukraińskie, wprowadził do organizacji ukraińskich tyle nowych jednostek, iż Rada nie będzie mogła przejść do porządku dziennego ani nad zagadnieniami ideowemi ani personalnemi.

Kongres Ukraińców Kanadyjskich rezolucje swe zredagował w sposób dość ogólny, odbywał on się jednak w dość specyficznych warunkach. Mimo zgody na odbycie Kongresu, wyrażonej przez Rząd Kanadyjski, mimo pewnej ilości głosów, które słusznie czy niesłusznie ale bądź co bądź rozważały sprawę zjednoczenia Ukrainy pod kątem widzenia "sobornosti" w ramach Związku Sowieckiego, cały szereg sowieckich pisarzy ukraińskich, a nawet oficjalny przedstawiciel Ukraińskiej Republiki Sowieckiej, wystąpili z najostrzejszym atakiem przeciwko organizatorom i członkom Kongresu, usiłując sprawom polityki ukraińskiej dać oświetlenie z punktu widzenia stosunków polsko-sowieckich czy t zw. sporu o granice, nie przez Polskę podniesionego.

W związku z tem wyłania się myśl nowa. Ukraińcy amerykańscy w całokształcie swych rozważań stanęli również wobec zagadnienia sowieckiego. Trzeba też od razu wyjaśnić, że współżycie Ukraińców i Polaków w ramach Rzeczypospolitej Polskiej pozostaje najzupełniej poza zagadnieniem sowieckiem. Z polskiego punktu widzenia konflikt polsko-sowiecki nie istnieje, został sztucznie przez drugą stronę narzucony, niema więc sporu o granice polsko-rosyjskie, nie ma wogóle sporu o granice. Istnieje tylko sprawa normalizacji stosunków polsko-ukraińskich w przyszłej Polsce, oparta na konieczności zaspokojenia potrzeb wszystkich obywateli bez względu na ich przynależność narodową.

Wracając do Kongresu Ukraińców kanadyjskich, zwrócić trzeba uwagę nie tyle na przyjęte przezeń rezolucje, ile na niektóre referaty na Kongresie wygłoszone. Wydana ostatnio broszura prof. Kirkonell'a p. t. "Our Ukrainian Loyalists," zawierająca właśnie przemówienie jego na Kongresie, zawiera kilka myśli, które nie mogą być pominięte przez nikogo, kto interesuje się sprawami ukraińskiemi i komu współżycie ukraińsko-polskie leży na sercu. Prof. Kirkonell powiedział m. in.:

"Pozwólcie mi wziąć pod uwagę specyficzną okolicę, w której większość z Was posiada żywe, synowskie interesy — rejon Galicji. Nie był on historycznie nigdy częścią Rosji i nawet z punktu widzenia językowego Z. S. S. R. nie posiada do niego więcej praw, aniżeli nazistowskie Niemcy posiadają w stosunku do Szwajcarji czy Danji. Zasadnicze jest zagadnienie pomiędzy Ukraińcami i Polakami."

Prof. Kirkonell powiedział dalej:

"Dlatego wszelka myśl o ukraińskiej niepodległości w tej okolicy musi wychodzić z założeń pokojowych rozmów z Polską dla terytorjalnej ukraińskiej autonomji, możliwe w federacji z Polską i Czechosłowacją."

Jeżeli słowa te cytujemy, to nie tylko dlatego, że wypowiedział je popularny profesor kanadyjski; są one niewątpliwie wyrazem uczuć szerokich mas ukraińskich, które naprawdę żywią przywiązanie do wschodnich terenów Rzeczypospolitej i dla dobra swych rodaków w kraju myślą o jak najszybszem pokojowem ułożeniu współżycia.

W broszurze znajdujemy również ocenę apelu powitalnego przesłanego na Kongres przez cztery najpoważniejsze organizacje polsko-amerykańskie. Apel ten nazwany został "Message of sympathetic goodwill." W słowach tych mieści się niejako treść całego zagadnienia polsko-ukraińskiego, sztucznie rozdmuchiwanego do rozmiarów problemu "nierozwiązalnego," znajdujemy w nich wskazówkę, jaką drogą iść musi porozumienie polsko-ukraińskie.

Jeżeli Rada Amerykańskich Ukraińców w rozważaniu spraw polskich potrafi uchwycić ten szerszy punkt widzenia, potrafi podejść do sprawy przede wszystkim od strony treści a nie formy, przy pełnem poszanowaniu dla swych aspiracyj politycznych, jeżeli co najważniejsze potrafi usunąć atmosferę niedowierzania, która raz po raz jeszcze ze wszystkich ukraińskich enuncjacyj przeziera, jeżeli potrafi zrozumieć, że sprawy polsko-ukraińskie rozwiązane być muszą jedynie i tylko przez Polaków i Ukraińców, że ramy Rzeczypospolitej Polskiej otwarte są zarówno dla Polaków jak dla Ukraińców, stanie się ona rzeczywistą i odpowiedzialną reprezentacją społeczeństwa ukraińskiego w Stanach Zjednoczonych.

WITOLD LEITGEBER

Na tułaczym szlaku: Junacy

Po wrześniu niezliczone rzesze Polaków, dobrowolnie lub przymusowo, rozbiegły się po całym niemal świecie. W czasie obecnej wojny Polacy są wszędzie. Od północy Sybiru po południe Afryki, od Wysp Brytyjskich po Indje i Amerykę. Mimo jednak takiego rozproszenia, wszędzie gdzie bije serce polskie, bije ono w ten sam takt. Te same myśli, uczucia i pragnienia je ożywiają.

Na szlakach tułaczych opasujących glob cały, a prowadzących do jednego celu, do Kraju, znalazły się też — dzieci polskie. Dużo o nich pisano, poświęcając im wiele serdecznego uczucia i troskliwości, mało jednak faktycznie o ich życiu wiemy. Korzystając dziś z obecności jednej z osób która przed paroma tygodniami widziała obozy junaków i młodszych ochotniczek w Palestynie i w Egipcie, zebraliśmy dla czytelników garść informacyj o nich. Obozy te — są to dziś największe na świecie szkoły polskie.

— Jakie są pokrótce dzieje tych junaków i ochotniczek? — brzmi nasze pierwsze pytanie.

— Są to w przeważającej większości dzieci, które znalazły się w wiadomych okolicznościach w Rosji. Są to dzieci pochodzące ze wszystkich warstw społecznych. Przeważnie z Kresów Wschodnich. Dzieci te — wśród których jest wiele sierot — gdy zaczęły się formować Polskie Siły Zbrojne w Z. S. R. R. nie mogły być wcielone w szeregi wojska z powodu zbyt niskiego wieku. Zostały one wyodrębnione i zebrane w pierwszych obozach junackich Karkin — Batasz, Guzar, Kitab, Wrenck — oto pierwsze ich etapy, nieraz bardzo ciężkie.

Z pierwszą i drugą ewakuacją młodzież ta znalazła się w Persji, a potem w Iraku. W maju 1942 junacy przybyli do Palestyny. Tutaj zostali oni podzieleni podług wieku, przygotowania szkolnego, uzdolnień i zamiłowań oraz rozmieszczeni w wojskowych obozach szkolnych w dziewięciu miejscowościach Palestyny i Egiptu. Razem jest około 3,000 chłopców, którzy nazywają się junakami lub kadetami oraz około 600 dziewcząt, zwanych młodszymi ochotniczkami, wszyscy w wieku od około 14 do 18 lat.

— Jakie są typy szkół?

— Dla najmłodszych istnieją szkoły powszechne. Jest ich trzy: dwie dla junaków i jedna dla młodszych ochotniczek. — Oparte są one na programie nauczania dla polskich szkół powszechnych.

Dalszy typ stanowią szkoły średnie, ogólnokształcące: Szkoła Kadecka, posiadająca cztery klasy gimnazjalne oraz żeńskie gimnazjum i liceum o typie humanistycznym. Szkoły te również oparte są na polskim programie nauczania. Program ten, w porównaniu z programem w Polsce został — że tak określę — zmodernizowany. Wprowadzono więc np. do szkół ogólnokształcących jako obowiązkowy przedmiot naukę o motorze i jazdy samochodowej.

Ostatni typ szkół stanowią różnego rodzaju szkoły zawodowe. A więc gimnazjum mechaniczno-lotnicze, 5 szkół mechanicznych i szkoła powszechna kompanji łączności, kształcąca do służby łączności w wojsku. Dla dziewcząt istnieje jeszcze kurs spółdzielczo-handlowy.

— Specjalne zainteresowanie budzą szkoły mechaniczne, z których otrzymamy przyszłych kwalifikowanych rzemieślników, tak ważnych dla odbudowy Kraju. Pytam więc o szczegóły.

— Szkoły mechaniczne mają na celu przygotować ludzi, którzy obok ogólnego wykształcenia przysposobieni by byli do samodzielnego wykonywania zawodu jako ślusarze, tokarze, kowale, spawacze, puszkarze, rusznikarze, blacharze, elektrotechnicy, mechanicy samochodowi i precyzyjni oraz którzy mieliby możność dalszego kształcenia się w szkołach zawodowych wyższego stopnia. W okresie wojennym szkoły te dać mają również wykwalifikowanego zawodowo i przystosowanego do potrzeb nowoczesnego wojska — żołnierza.

Specjalną troskę przywiązuje się do odpowiedniego zorganizowania nauki własnej, wypoczynku, sal jadalnych, świetlic (wielka tu pomoc Y. M. C. A.), kultury życia codziennego i towarzyskiego. W pracy tej wielkie usługi oddają ochotniczki Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, które najmłodszym junakom niejednokrotnie zastępują serdeczną opiekę utraconej matki.

Trzeba dodać, że młodsze ochotniczki zaznajamiają się także z tajnikami gospodarstwa domowego. Mają one co pewien czas dyżury w kuchni, gdzie uczą się gotować, zmywać itp., pod fachowem okiem stałego personelu.

— Jak są zorganizowane obozy szkolne?

— Obozy szkolne są prowadzone przez wojsko. Całość więc szkół przypomina organizację bataljonu z tem, że każdy obóz -szkoła jest jakgdyby pododdziałem. Dowódca Szkół Junaków ma jednak do pomocy organ ściśle fachowy w sprawach nauczania i wychowania. Jest nim Dyrekcja Nauk, jak gdyby kuratorjum szkolne. Za zorganizowaniem szkół przez wojsko przemawiały w pierwszym rzędzie względy praktyczne. Nie byłoby mowy o zorganizowaniu szkół w czasie trwania wojny bez pomocy wojskowych władz brytyjskich, w ten jedynie sposób rozwiązane zostały problemy umundurowania, wyżywienia, zakwaterowania, personelu, bezpieczeństwa i wielu innych. W ramach wojskowej tylko organizacji brytyjskiej wszystko, co potrzebne, zaraz się znalazło. Anglicy nawet dla naszych junaków zaczęli szyć specjalnie małe szorty mundurowe, tak że wkrótce zaginął widok tych malców w za dużych spodniach, koszulach czy hełmach tropikalnych.

Równie ważny wzgląd stanowił fakt konieczności przygotowania tej młodzieży na najbliższą przyszłość — o ile zajdzie tego potrzeba — dla służby w Polskich Siłach Zbrojnych, najważniejszej i najchlubniejszej służby, dla młodzieży w chwili obecnej.

Zresztą w obozach nie ma "ducha koszar". Są jedynie zewnętrzne formy życia wojskowego, jak pobudka, zbiórki, apele, raporty, służba. Trzeba widzieć, z jakiem przejęciem i ochotą salutują i meldują się junacy, by zrozumieć jak im takie życie się podoba i odpowiada w chwili, kiedy cały naród walczy. Poza tem życie ich to życie internatu szkolnego

Duży nacisk położony jest na wychowanie fizyczne. Jest też trochę musztry formalnej i wyszkolenia strzeleckiego. Ale może Pan być pewien i zapewnić innych— dodaje mój rozmówca — że wojsko nie "zabija" w nich duszy.

— Jak wygląda dzień junaka?

— Rano o godz. 5.30 jest pobudka, potem gimnastyka, porządkowanie rejonu, modlitwa i śniadanie.

Nauka rozpoczyna się o godz. 7-ej rano i trwa do godziny 11-ej. Następnie obiad i przymusowy odpoczynek, a potem nauka własna. Wieczorem, po apelu i modlitwie, o godz. 20.30 nastaje cisza nocna. Junacy i młodsze ochotniczki mieszkają w namiotach lub w barakach. Ład i porządek, jak w dobrej polskiej podchorążówce, rzucają się w oczy każdemu, kto odwiedza obozy. Dziewczęta z liceum mieszkając po cztery w namiocie mogą się urządzać indywidualnie, według własnego gustu.

Jeszcze przed pół rokiem dzieci uczyły się leżąc na piasku, dziś klasy, laboratorja itp. są wzorowo urządzone. Prawie wszystko własną pracą. Anglicy, którzy niezwykle serdecznie się odnoszą do "Polish young soldiers," bardzo wiele pomagają. Zwłaszcza wymienić tu należy sercem oddanego oficera łącznikowego majora Parker. Anglicy są zachwyceni naszymi obozami szkolnymi, a junacy zmienili niejednokrotnie zapatrywania niektórych Anglików w stosunku do Polski!

Dzieci otrzymują posiłki pięć razy dziennie. Warunki zdrowotne są dobre. Tak więc stopniowo naprawia się szkody wyrządzone w zdrowiu młodzieży przez pobyt w Rosji i dziś można powiedzieć, że stan zdrowotny jest zupełnie dobry.

— Jak możnaby scharakteryzować junaków i młodsze ochotniczki?

— Są to dzieci czyste, dobrze ubrane, zdrowo wyglądające, ale dzieci smutne, nie umiejące się bawić, poważne. Dziewczynki może szybciej przychodzą do siebie psychicznie. Pamięć pobytu w Rosji trwa. Opowiadają o swych przeżyciach rzeczowo.

Są to dzieci umysłowo bardzo rozwinięte. Dają na trudne nawet pytania śmiałe, zwięzłe i jasne odpowiedzi. Są szczere i nie kłamią, przyznają się otwarcie do swych wad lub złych postępów w nauce. Nie ma krętactwa i nieśmiałości. Nastrój panuje przyjacielski,. Bardzo duża religijność dochodząca niejednokrotnie do egzaltacji.

Uczciwość duża. Podam jeden przykład. W świetlicach uczniowskich są sklepy zaufania, bez sprzedawającego. Każdy bierze towar (ołówki, zeszyty, słodycze itp.) i zostawia pieniądze w pudełku bez kontroli. Gdy wieczorem sprawdza się zawartość pudełek, nic nie brakuje.

Kar prawie niema. Mimo to panuje wielka dysciplina, dyscyplina raczej wewnętrzna a nie zewnętrzna. Najcięższą kara to obcięcie włosów.

Chłopcy kochają broń, ale bodaj garną się więcej do nauki niż do wojska. Chociaż przyznać trzeba, że musztra i defilada są wprost wspaniałe. Niedawno zmarły Naczelny Wódz gen. Sikorski, po ich defiladzie, w czasie ostatniego pobytu wśród junaków powiedział: "Defilujecie jak gwardja królewska."

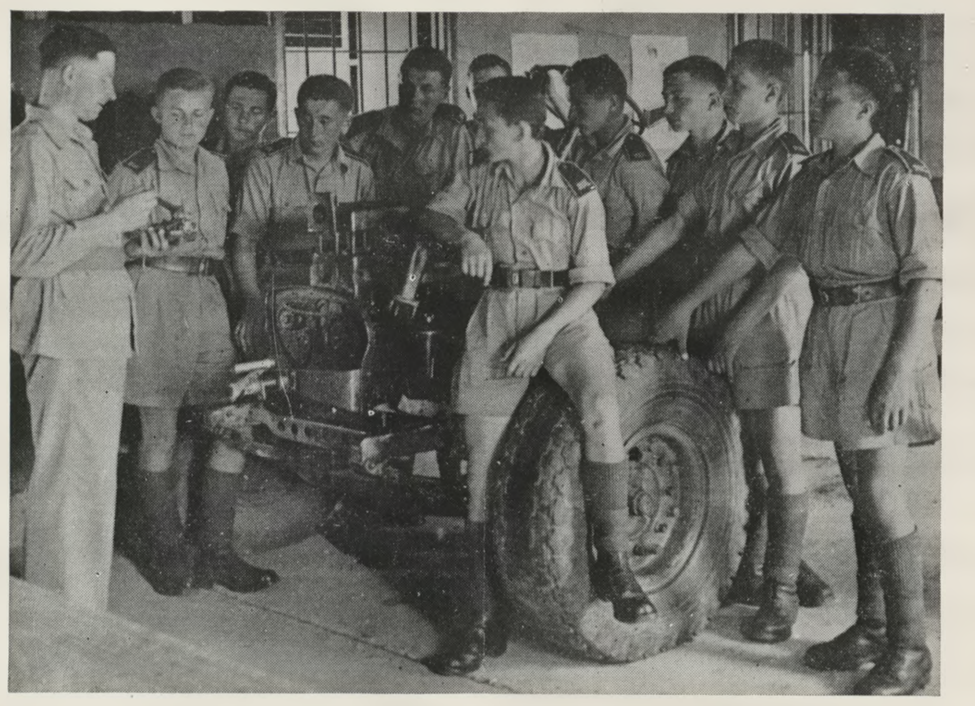
Życie kulturalne w obozach jest bardzo rozwinięte, w dużej mierze dzięki Y. M. C. A. Wystawiono m. in. wspaniale "Halkę". Kostjumy zrobiono we własnej pracowni, własnymi środkami z worków, starych koszul itp., dając efekty niegorsze niż na prawdziwej scenie. Świetlice są doskonale zorganizowane i urządzone. Dużo własnych malatur. Widać niejednokrotnie talenty. Są też talenty pisarskie i muzyczne. W obozie wychodzi pismo "Junak," świetnie redagowane, zawierające wiele artykułów pisanych przez junaków i młodsze ochotniczki.

Książki, których jeszcze jest brak i gazety są zaczytywane "na śmierć."

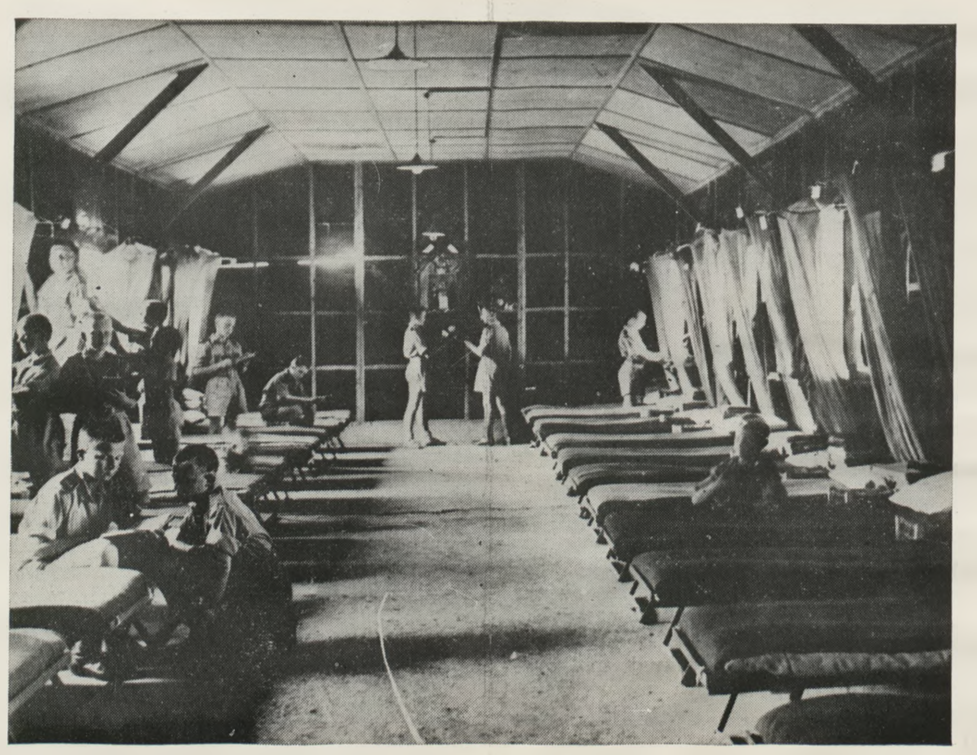
Junacy i Młodsze Ochotniczki na Bliskim Wschodzie łakną dobrego słowa polskiego, dobrej książki polskiej. Pamiętajcie o nich. Książki można wysyłać pod adresem: Monthly "Junak," Polish army Y. M. C. A., Raanan 22, Tel-Aviv. Palestine.



Biblioteka.



Nauka przy motorze samochodowym.



Sypialnia w obozie Junaków.

(Dokończenie ze strony 1szej)

PRZEŁOM W U.S.A.

Nie jest przypadkiem, że w tym samym dniu, w którym Cordell Hull wygłosił swe programowe expose, jeden z najwybitniejszych dyplomatów amerykańskich, b. Ambasador U. S. A. w Moskwie i w Paryżu, W. C. Bullit, wystąpił z mową, poświęconą sprawie polskiej. Mowa W. C. Bullit'a jest po prostu zostosowaniem do sprawy Polski zasad ogólnych, sformułowanych przez Cordell Hull'a.

W mowie swej, zakończonej okrzykiem "Jeszcze Polska nie zginęła" ambasador Bullit złożył najpierw hołd twórczemu wysiłkowi narodu polskiego, stwierdzając, że osiągnięcia Polski we wszystkich dziedzinach życia w czasie 20-lecia od 1919 do 1939 "należy uznać za cud." Następnie mówca przeprowadził zwięzłą, ale precyzyjną analizę prawną zagadnienia granic polskich, kończąc ją wnioskiem, że rozbiór Polski w r. 1939 dokonany przez Niemcy i Rosję "nigdy nie był uznany przez żaden ze Zjednoczonych Narodów. Niemcy i Rosja zachowały w praktyce obszary Polski, ale jedyną podstawą posiadania ich był zabór przez siłę."

W dalszym ciągu swej mowy ambasador Bullit, idąc śladami mowy Cordell Hull'a i jak gdyby komentując jego program woła:

> "W naszym żywotnym interesie leży, aby zasady Karty Atlantyckiej tworzyły podstawę przyszłego pokoju.
>
> "Uznamy za nieważne wszystkie zabory dokonane od czasu inwazji Austrji, gdy Hitler wtrącił Niemcy i cały świat w katastrofę. W odbudowie kierować będziemy się wskazaniem przykazania: "Nie rób drugiemu co Tobie nie miło."
>
> "Jako naród nie zgodzimy się nigdy na zasadę, według której siła idzie przed prawem lub na to aby silniejsze narody korzystały z przywilejów, które nie są przyznane narodom słabszym.
>
> "Nie możemy zgodzić się na to, aby kontynent europejski dzielony był na "sfery wpływów" albo "obszary specjalnych zainteresowań". Będziemy przeciwstawiali się wszystkim próbom zmuszenia któregokolwiek narodu europejskiego do wyrzeczenia się niepodległości wbrew jego woli i nie weźmiemy udziału w żadnym programie, który ma na celu niewolę jakiegokolwiek narodu.
>
> "Dla Europy pragniemy tego samego co dla nas samych: Wolności i demokracji państw suwerenych tworzących zespołowość, która reguluje swoje spory przy pomocy sądu a nie przez użycie siły. W tym zespole narodów każdy ma być równy wobec prawa i żyć musi bez obawy przed tajną policją i plutonami egzekucyjnymi."

Mowa ambasadora Bullit'a była ostatniem, już wyraźnie polskiem ogniwem w szeregu doniosłych wydarzeń, które w krytycznym okresie obecnej wojny ideologicznej zarysowały jasno i wyraźnie zasady i oblicze polityki Stanów Zjednoczonych.

Czy te przełomowej zaiste wagi a dla nas Polaków nader pozytywne fakty uprawniają nas do wniosku, że możemy już być o przyszłość spraw polskich na terenie międzynarodowym zupełnie spokojni?

Wniosek taki byłby co najmniej przedwczesny a to z następujących powodów:

Po pierwsze: Wyklarowanie sytuacji ogranicza się narazie do terenu U. S. A. I tutaj jednak, jak w każdym kraju ze zdecydowaną przewagą opinji publicznej należy się liczyć z olbrzymimi wpływami naszych wrogów i nie ustawać w pracy i czujności.

Po drugie: U. S. A. jakkolwiek stanowi dziś i stanowić będzie po wojnie najpotężniejszy człon Narodów Sprzymierzonych, nie ma możności ani chęci samodzielnego decydowania o sprawach europejskich. Tutaj wyłania się konieczność usilnej akcji wśród innych Narodów Sprzymierzonych, akcji tem łatwiejszej, iż dążenia Polski pokrywają się całkowicie z wielkimi celami wojny Narodów Sprzymierzonych.

Po trzecie: Wojna nie została jeszcze zakończona. Poszczególne jej fazy i ukryte w mrokach najbliższej przyszłości możliwości przynieść mogą równocześnie dla naszych wrogów szereg dogodnych konjunktur a dla nas poważne niebezpieczeństwa.

Z tych powodów nie wolno nam nawet z racji najbardziej pozytywnych wydarzeń upajać się optymizmem. Nie tylko wytężona czujność, ale **czynna** postawa polityczna na terenie międzynarodowym są w dalszym ciągu nakazem polskiej racji stanu.

STANISŁAW STRZETELSKI.

W POPRZEDNIM (37) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

JAN LECHOŃ

U RODZIŃSKIEGO NA AMERYKAŃSKIEM PODHALU

Wiadomo wszystkim, którzy znają Artura Rodzińskiego, a znają go w Stanach wszyscy, że jego "hobby" jest jego farma pod Stockbridge'm w Massachusetts i wszystkie rzeczy które jej są: konie, krowy, psy, kury i pszczoły. Ten człowiek, reagujący na wszystko jak prawdziwy artysta, ma oczywiście bez liku drobnych umiłowań, pasji, ciekawości, ale miłość do ziemi, uzmysłowiona w pracy na jego ukochanej farmie jest to właściwie drugie jego życie, drugi cel jego życia, a raczej, skoro się w tę pasję wmyślić, najgłębsze źródło, z którego płynie jego miłość do sztuki i jej zrozumienie.



ARTUR RODZIŃSKI
"przyłapany" przez fotografa w charakterystycznym wym wyrazie w czasie dyrygowania orkiestrą.

Nie jest to jakiś wielki majątek, ani pałac wspaniały, ot trochę pola, łąka, pagór zalesiony i wśród kwiatów, teraz jesiennych, takich samych jak w Polsce, wygodny solidny dom, z którego werand i okien jak okiem sięgnąć, widać owe amerykańskie Podhale o każdej chwili dnia przypominające Arturowi Rodzińskiemu i jego żonie wschody i zachody słońca i szum drzew w Zakopanem.

Na tej przestrzeni, nie większej niż objąć może serce jednego człowieka, niema skrawka ziemi, niema zagonu kwiatów czy warzyw, ula czy krzaka w żywopłocie, na którychby codziennie nie spoczął troskliwy wzrok gospodarza, niema sprawy gospodarskiej w oborze, stajni, czy tem, co myśmy po naszemu nazywali "wozownią," któreby wydawały się Arturowi Rodzińskiemu błache, nie budziły jego troski, niepokoju lub radości: od świtu do wczesnego, jak należy na wsi, pójścia spać, tylko parogogodzinna praca nad zaczynającym się sezonem w Nowym Yorku i owe wiejskie kłopoty - są jego życiem, odpoczynkiem i rozkoszą.

Kiedy patrzysz na Artura Rodzińskiego jak w wielkim kapeluszu słomianym, w klasycznych farmerskich portkach, prowadzi konia na łąkę, lub kiedy mocuje się wielkiemi nożycami z jakąś szczególnie upartą gałęzią ciernistego krzewu, kiedy zastajesz go przy tajemniczej dla ciebie, ale odrazu widzisz, fachowej rozmowie z jego pomocnikiem w gospodarstwie, noszącym jakże pobudzające fantazję europejską nazwisko Rockefeller, widzisz odrazu, że tu nie chodzi o żadną wielkopańską zabawkę, żadne kuracyjne zabiegi, żaden przelotny kaprys wymęczonego gwarem i zblazowanego mieszczucha, tylko, że to jest ta sama pasja, którą każdy Polak przynosi ze sobą na świat, i która ponad wszelkie bogactwa i szyki kazała nam przenosić zawsze własny, choćby najmniejszy "kawałek ziemi," jego nabycie mieć za symbol udanego życia.

Kiedy rozglądasz się po domu Rodzińskich, takim, jaki zjawiał się w naszych marzeniach o własnej willi w Zakopanem i widzisz naiwne kilimy polskie na ścianach, garnki huculskie na półkach i wszędzie rozwieszone akwarele Rafała Malczewskiego, drzeworyty Konarskiej, reprodukcje Stryjeńskiej, kiedy w wieczornej rozmowie przy nieczynnym teraz, ale przecież kominku płynie szeroka, bezładna fala wspomnień, z której raz poraz wyłania się jakiś cień, jak niezapomnianego Emila Młynarskiego, będący dziś wzruszającym wspomnieniem, kiedy patrzysz na arcymuzyczną głowę i wagnerowski profil przyjaciela doszłego szczytów najwspanialszej karjery, o jakiej muzyk mógł zamarzyć — nagle te wiejskie zatrudnienia, ten pejzaż tak ci znajomy i idące teraz z ust do ust wielkie i małe, ale jakże bliskie polskie nazwiska układają ci się w jakąś całość, w której wszystko jest własne i zrozumiałe i wszystko zarazem jak z bajki.

Tak, wszyscy ci goście, którzy zaglądaja teraz do tego domu, to są owi wielcy ludzie, o których myślałeś kiedyś jak o niedostępnych wzrokowi śmiertelnych bogach muzycznego Olimpu, wszystkie codzienne sprawy, a których Rodziński mówi ze swą żoną, które załatwiają się, jak rachunek za mięso, czy mleko, są to najważniejsze sprawy światowej muzyki, decydujące nieraz o całorocznych udrękach, czy nadziejach doskonałych artystów, każdy telefon z Nowego Yorku, jest to jakaś decyzja, o której w godzinę później plotkują wszystkie melomanki i snobinety Ameryki. I zarazem ten, który wszystkie te sprawy ma w swoim ręku jest to ten sam Artur Rodziński, którego zdaje się wczoraj widziałeś w świetle rampy na tle starej, poczciwej, spalonej w bohaterskiej walce kurtyny Teatru Wielkiego,, którego niemal jeszcze widzisz, jak siedzi u Loursa lub u Semadeniego, powiedzmy z Freszlem, Narożnym i Janowskim, ten sam, o którego się pytałeś, tak zdaje ci się niedawno: "Co to? Rodzinski naprawdę został zaangażowany do Ameryki?"

Niema wielkiego muzyka, kompozytora czy wykonawcy, którego fotografji, danej Rodzińskiemu na znak podziwu i wdzięczności nie widziałbyś teraz na ścianie czy na stoliku w Stockbridge. Toscanini, Weingarten, Horowitz, d'Albert, niektórzy już blednący czy żółciejący, pod szkłami ramek, zdają się opowiadać nam cudowną historję bajecznej, światowej karjery Artura Rodzinskiego. Ale i w tej opowieści polski przyjaciel chwyta w pewnej chwili jeden bliższy mu i Rodzinskiemu też bliższy wątek; z pośród tylu sławnych czupryn polskie oko wybiera lwią grzywę Paderewskiego i ze wzruszeniem czyta jego dedykację, z pośród tylu podpisów jakże ci drogi i pamiętny podpis Karola Szymanowskiego szczególnie cię rozrzewnia· dłużej niż na inne patrzysz na skupioną solidną twarz Hofmana i odszukujesz wśród tylu fotogienicznych uśmiechów najbardziej z nich błyskotliwy, arcyinteligentny uśmiech Artura Rubinsteina. I oto uświadamiasz sobie naraz, że przez przedziwny kaprys naszego polskiego losu który naszą wspaniałą ale hermetycznie polską poezję uczynił niemal nieczytelną dla świata, który w plastyce jakże z natury swej międzynarodowej dał się tylko paru naszym malarzom i rzeźbiarzom dorobić naprawdę światowego nazwiska, przez ów zbieg przyczyn głębokich i błahych — w muzyce niebędącej, zdawałoby się przecież naszą specjalnością, jesteśmy na świecie wielką potęga, dzięki nietylko Chopinowi, ale i całej wspaniałej, wciąż odradzającej się plejadzie wykonawców, dziś prowadzonej przez Hofmana, Hubermana, Landowską, Rodzińskiego i Rubinsteina, chwała Bogu, wszystkich dziś wolnych i triumfujących w Ameryce.



Artur Rodziński w swym gabinecie pracy w Stockbridge. (Na ścianach widoczne reprodukcje polskich artystów.)

Jest to szczęście, błogosławione zrządzenie losu i niewyzyskana dostatecznie okazja dla Polski, że w tej właśnie chwili mamy takich i tylu ambasadorów polskich, o których, jakże słusznie możnaby zrobić łatwy dowcip, że poczucie taktu jest nieodłączne od ich natury, którzy o nic nikogo nie muszą prosić i o których, przeciwnie, zabiegają najdoskonalsze snoby; żaden najbardziej muzyczny naród poza rosjanami niema dziś na świecie takiej wspaniałej reprezentacji.

Artur Rodziński jest od wielu lat obywatelem amerykańskim; jego obowiązkiem i celem poza troską o najwyższy poziom programów jest piecza nad rozwojem muzyki, opieka nad talentami tego kraju, który dał mu tak niezwykłe warunki pracy, który tak szybko przyjął go za swego; z tych obowiązków Rodzinski wywiązuje się nietylko z wzorową sumiennością obywatelską, ale i z tą gorączkową ciekawością i z zapałem do nowości, które są niedołączne od jego natury. Szczęśliwie jednak przynależność do narodu amerykańskiego nie nakłada żadnych pęt obowiązkom, do których Rodzinski całą duszą się poczuwa, pozwala mu, nie poświęcając niczego dla banalnej propagandy, tam wszędzie gdzie pojawia się prawdziwy polski talent, dopomóc mu jak nikt inny nie mógłby wydatnie, pozwala mu przedewszystkiem będąc obywatelem amerykańskim być doskonałym Polakiem, co wiedzą nietylko jego przyjaciele artyści, ale, co wie co ważniejsza, cała Polonja polska w Cleveland; każdy tamtejszy Polak szczycił się tym znakomitym ziomkiem i dzisiaj wspomina go jako najlepszego z sąsiadów.

Wszystkie almanachy, encyklopedje, wszystkie pisma muzyczne napisały już po wielokroć gdzie się Artur Rodziński urodził, gdzie kształcił, gdzie pierwszy raz występował i wszystko w tym życiorysie wygląda jak przykładne wznoszenie się bez przeszkód ze szczebla na szczebel w najprzychylniejszych gwiazdach zapisanej karjery. Ale kiedy wieczorem, zmęczony mocowaniem się z opornym żywopłotem, albo tajemniczemi manipulacjami w ulach, da się Artur ponieść wspomnieniom, kiedy lwowianin z wychowania, warszawiak z najświetniejszych czasów swej młodości zacznie mówić o tem, jak to wszystko było naprawdę, w jakich warunkach odbywały się jego debjuty we Lwowie i w Warszawie, po ilu próbach brał się do najtrudniejszych oper, w których święcił później swoje największe triumfy, kiedy wyjawi ci prawdziwą liczbę lekcji, wziętych od owych profesorów z jego biografji, przyjdzie ci jeszcze bardziej niż po przeczytaniu budującego życiorysu, podziwiać tego wspaniałego artystę, który, używając ryzykownego porównania, przyniósł sztukę dyrygowania ze sobą na świat i dyryguje jak ptak śpiewa.

Lwowiak czy warszawiak, przyzwyczajony, że życie znakomitego Polaka musi zawsze mieć coś ze wspaniałej improwizacji, rozgorączkowany, z zachwytem słucha o początkach muzycznych doktora praw Rodzińskiego, któremi były klaka w operze, przewracanie kartek pianistom, akompanjament w różnych budach; wydaje mu się to doprawdy polskie, arcypolskie owe wściekłe ryzykanctwo z jakim Rodziński porywał się za najtrudniejsze partytury, czując w sobie ową iskrę, mającą wybuchnąć w płomień jego doskonałej sztuki.

To tę właśnie iskrę dojrzał, przyjechawszy do Warszawy Stokowski i zrozumiał od razu, że Rodziński jest nietylko najświetniejszym kapelmistrzem opery warszawskiej ale jednym z najświetniejszych kapelmistrzów świata.

Ameryka ze swą szczodrością, swą pasją do wielkich wzniesień się dała Rodzinskiemu możność, aby jego talent wybuchnął wielkim płomieniem; tutaj dopiero znalazł on teren, warunki pracy, tutaj wykształcił i ustalił jej metody, stąd poszła jego sława na świat cały; w tym sensie ma też Rodziński prawo i obowiązek uważać się za kapelmistrza amerykańskiego.

Z zachwytem mówi on o wspaniałym tempie z jakim rozwinęła się muzyka w Stanach, o renesansowych warunkach dla wielkich artystów, o zastępach odbiorców, o jakich Europie się nie śniło. Są to niby prawdy oklepane i znane każdemu europejczykowi, ale może dopiero życie takie jak Rodzińskiego daje nam Polakom miarę tego czem jest dla muzyków Ameryka.

Szkoły muzyczne Julliard Foundation w New Yorku, Curtiss Institute of Music w Filadelfji i Eastman School of Music w Rochester z których wyszli najlepsi artyści amerykańscy mogą być wzorem dla całego świata, niema dziś w Ameryce miasta czy miasteczka, do którego nie zajeżdżaliby najwięksi kapelmistrze i wykonawcy, w których nie mieliby marzących o nich entuzjastów.

Z zaciekawieniem słucham z jak niezawodną, pozbawioną zdawkowości ale pełną też oddania i zachwytu ścisłością odmierza Rodziński swe opinje o już bardzo uznanych i dopiero wschodzących wielkościach muzyki amerykańskiej, co mówi o takich artystach jak George Gershwin, John Alden Carpenter, Roy Harris, Aron Capland, Walter Piston, William Shuman, Roger Setssion, Deems Taylor, Howard Hanson, Harold MacDonald.

Pobudzić twórczość kompozytorów, wydobyć nowe dzieła jest to oczywiście jedno z zadań naczelnych, które stawia sobie Rodzinński w New Yorku, jak było to jego celem, wszędzie gdzie pracował.

Podobnie też, jak w Cleveland organizował konkursy, tak ma Rodziński zamiar robić je i teraz w Nowym Yorku, ażeby dać każdemu nowemu talentowi możność wybicia się nie skazując go na zależność od jakże często zbyt indywidualnego sądu jednostek.

Nowy York, który oddawna chciał mieć Rodzińskiego na stałe u siebie, który rok rocznie tłoczył się na jego gościnnych występach, który zna jego wykonania niedościgłe a jemu ulubione i niecierpliwie czeka zawsze na jego Ravela,Szostakowicza i Straussa, który pamięta jego tryumfy w operze, niezapomnianą jego "Elektrę,," "Lady Mackbeth," który wie, jaką ma Rodziński pasję pracy, jaką ambicję nietylko doraźnych tryumfów, ale też budowania i rozszerzania kultury, z ufnością nietrudną do wyczytania z głosów prasy, wchodzi w nowy sezon muzyczny, mający się zacząć 7-ego października.

Nie można się dziwić nam Polakom, że szykujemy się na ten dzień jak i na nasze święto.

Takie święto przyżyłem niegdyś w czasie wystawy paryskiej, kiedy Artur Rodziński już bardzo sławny i poprzedzony triumfami w Salzburgu, przyjechał, aby zdobyć to najtrudniejsze na świecie miasto, które z niczyją opinją się nie liczy i chce zawsze własnym gustem czy kaprysem wybierać swych ulubieńców.

Jeszcze pamiętam tę prawdziwę nawałnicę braw, ten śmieszny, ale jakże pochlebny dla Artura podziw, że on właśnie, cudzoziemiec potrafił jak nikt inny odkryć to wszystko, co jest najbardziej własne, najbardziej francuskie w "Dafnis i Chloe" Ravela, pamiętam jak doskonały twórca i człowiek piękny Albert Roussel, gorączkowo pytał mnie o Rodzińskiego i naprawdę szukał słów, żeby wypowiedzieć swój zachwyt.

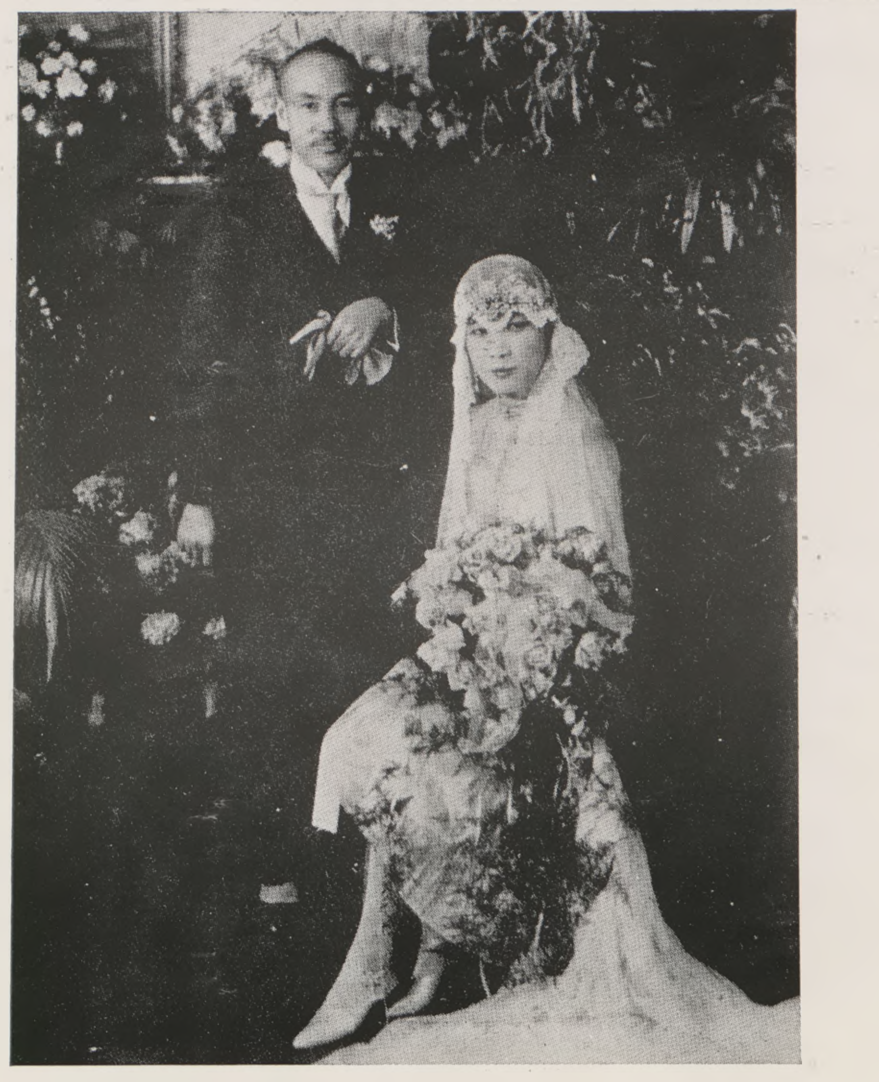
Od tego czasu korzystałem z każej okazji, aby słuchać Rodzińskiego i napewno jedyne uczucie, jakiego nie spodziewam się dzięki niemu doświadczyć jest to zdumienie ,że poprowadzi coś, jak nikt inny. Nigdy zato, ani ja, ani ktokolwiek, kto pamięta Artura z Warszawy, patrząc jak jego czupryna, już dziś siwa, wznosi się nad największą orkiestrą świata w największej stolicy nie przestaniemy instynktownie przymykać oczu i widzieć wtedy filarów naszego najdroższego teatru, który upadł w gruzy w najwspanialszej walce i w którym Artur Rodziński przeżył to co jest naszym największym szczęściem: młodzeńcze marzenia. I wiem, że to wspomnienie jest i jemu najdroższe i że z tych niewielu marzeń, których nie wypełniło jeszcze jego bajeczne życie, najczulsza, najbardziej własna, najbardziej pełna tęsknoty jest nadzieja, że jemu właśnie dane będzie poprowadzić warszawską orkiestrę w dniu, kiedy poraz pierwszy w podniesionym z gruzów Teatrze Wielkim rozebrzmią znowu pełne nieuleczalnej otuchy polskie dźwięki.

I teraz, wieczorem kiedy skończył mi właśnie mówić o tem i tłomaczyć jakim klejnotem muzycznym jest "Straszny Dwór" Moniuszki i jak bardzo chciałby go poprowadzić tu w Nowym Yorku zrywa się nagle, przypomniawszy sobie, że jutro czeka go ciężka praca i, z uśmiechem naśladując głos altowy nuci arję Ochmistrzyni:

"Ale komu w głowie figle
o robotę ani dba"



Artur Rodziński, z żoną swą, Haliną, z domu Lilpopówną, w Stockbridge.



Nowoobrany prezydent Chin Czang-Kai Szek z żoną w dniu ich ślubu.

STANISŁAW RURAT

TE SAME BŁĘDY

Przed kilku dniami pisałem w "Nowym Świecie," że głos Francji w sprawach dla niej żywotnych musi być uszanowany i że pomiędzy uznaniem praw Francji i Polski istnieje polityczna łączność. To stanowisko nie jest obce Polakom, którzy zarówno w przeszłości jak i teraźniejszości wyczuwali zawsze potrzebę ścisłych węzłów z Francją. Polacy rozumowali słusznie, iż między Francją a Polską istnieje naturalna spójnia, polegająca na tem, że na granicach tych dwóch krajów zaczyna się i kończy rejon kultury zachodniej kontynentu europejskiego.

Od chwili Niepodległości polityka polska przemieniła to szczere pragnienie narodu polskiego w zasadę racji stanu Rzeczypospolitej. Realnym twórcą przymierza z Francją był Józef Piłsudski, który ujął sentyment i rozum narodu w praktyczne ramy. Wszyscy polscy mężowie stanu, bez wyjątku i bez różnicy kierunku politycznego, pracowali nad pogłębieniem stosunków z Francją.

I byłby już czas ku temu, aby rzeczoznawcy stosunków polsko-francuskich przeprowadzili dowód, że wbrew pozorom i wbrew rozpowszechnionej legendzie, zasadniczym celem wszystkich ważniejszych posunięć polityki polskiej było wprowadzenie sojuszu z Francją z tekstów traktatowych w płaszczyznę rzeczywistej współpracy.

* * *

Jeśli pomimo najlepszej woli ze strony polskiej stosunki z Francją nie zawierały pełnej treści, tak potrzebnej obydwu narodom i Europie — to głównie dla tego, że stosunek wielu poważnych polityków polityków francuskich do Polski był inny niż naogół wszystkich Polaków do Francji. Od chwili wycofania się Clemenceau z czynnego życia polityka francuska regulować zaczęła stosunki z Polską w płaszczyźnie dość nierealnego sentymentu — jedynego czynnika przejętetgo z wielkiego dziedzictwa wspólnych ideałów i walk. Natomiast racja polityczna, którą w stosunku do Polski Clemenceau gwałtownie korygował po poprzedniej wojnie, powróciła do ciężkich błędów przeszłości. Do tych błędów Francji należało dopuszczenie do rozbiorów Polski i bierność wobec wzrostu potęgi pruskiej.

Jak za Napoleona III, krzepnąca siła Prus nie spotykała się z oporem Francji, aż doszło do Sedanu 1871 r., tak w dobie ostatniego dwudziestolecia wzrost siły Niemiec nie tylko nie napotykał oporu, ale był w wielu wypadkach następstwem polityki francuskiej, aż w r. 1940 nastąpił drugi i straszliwy Sedan. I podobnie jak w przeszłości tak i w przedwojennej Europie, polityka francuska nie widziała w Polsce elementu własnego bezpieczeństwa a raczej "kłopotliwego" sprzymierzeńca. Do ostatnich też chwil przed wojną, politycy francuscy nie mogli zdecydować się na traktowanie sojuszu z Polską za istotne zobowiązanie polityczne i moralne. To połowiczne pojmowanie obowiązków. przyjętych wobec Polski pozwoliło Francji na ociąganie się, kiedy po ataku Hitlera na Polskę trzeba było wypowiedzieć wojnę Niemcom natychmiast. A kompleks wyższości, który, jak okazało się w tej wojnie, tak niesłusznie cechował stosunek wielu Francuzów do Polski, nie dał Francji skorzystać z doświadczeń wojny wrześniowej w Polsce ani z drogiego czasu, który Polska wywalczyła dla swej sojuszniczki. Aż nieprzygotowana i niedostosowana do tej wojny Republika Francuska padła pod obuchem uderzeń niemieckich, jak wspaniała budowla o nadwątlonych fundamentach.

* * *

Wiedzieliśmy jednak, że za ten stan rzeczy odpowiedzialni są ludzie, którzy nie tylko Polski nie rozumieli. Nie rozumieli oni również Francji. Winą obciążyć należy całą generację polityków francuskich, którzy wspaniałą tradycję Francji sprowadzili na drogę niebezpiecznych kompromisów i rozpoczęli wyprzedaż wielkiej historii swego narodu. Oni to oceniali materjalną rzeczywistość Francji wyżej od jej ideowej przeszłości. Kompromis za każdą cenę — którą przeważnie płacić mieli inni — stał się jakby naczelną zasadą wielu polityków francuskich.

Zadziwiające jest jednak i gorszące, że znajdują się emigranci francuscy, którzy zwalczając przedwojenną politykę swego kraju, popadają w [illegible] błędy, które nieodzownie prowadzić muszą do takich samych rezultatów.

Do takich należy p. Bure, który ogłasza się jako "przyjaciel" Polski i który w piśmie francuskim, wychodzącym w Nowym Yorku "France Amerique" doradza Polsce, aby oddała sowietom ziemie wschodnie i zaopatruje swe "przyjacielskie rady" nietylko atakiem na przedwojenną politykę polską ale i kalumnią na postać Józefa Piłsudskiego. Dla p. Bure nic się w świecie nie zmieniło, ten anachronista polityczny pragnie bowiem zdobyć poparcie sowietów dla Francuskiego Komitetu Wyzwolenia za cenę nowego rozbioru Polski. Trudno wierzyć, aby dzisiejsza rzeczywistość Francji nie przeorała polityki francuskiej i aby jedyną ciągłością tej polityki były dawne błędy. Raczej przypuszczamy, że wojna nie zdołała zmienić tylko p. Bure i jego politycznych przyjaciół.

Jesteśmy dalecy od tego, aby posądzać cały Komitet Wyzwolenia Francji o zamysły, które cechuje publicystów o charakterze p. Bure. Pragniemy istotnie stwierdzić, że zdajemy sobie dobrze sprawę z trudności, z którymi Komitet Francuski musi walczyć. Znane nam są również przeciwieństwa na które napotyka Gen. de Gaulle, który tak przykładnie i konsekwentnie walczy o sprawę Francji. Nie obcą jest nam nawet wyrozumiałość, gdy patrzymy jak patrjoci fanrcuscy używają porozumienia z Sowietami na to, aby polepszyć ich trudną pozycję wobec Anglji i Ameryki. Z chwilą jednak, gdy p. Bure, prowadzić zaczyna obronę interesów sowieckich a nie francuskich i otwiera przetarg ziemiami polskiemi, kończy się wyrozumiałość i najlepsza wola Polaków. Tą drogą t. j. handlem cudzą własnością Francja nie zostanie uratowana i takimi środkami, które odpychały najgorliwszych przyjaciół od współpracy z Francją, nie zbliży do siebie ani Polski ani Europy.

Musimy na tem miejscu również podkreślić, że interesy Francji, są conajmniej równie płynne jak w całej Europie. **Francja zdoła odzyskać swe obszary tylko przy zaakceptowaniu wspólnych zasad** przede wszystkiem **nienaruszalności obszarów wszystkich aljantów.** Kwetjonując integralność Rzeczypospolitej p. Bure przypuszcza atak na zasadę, która jest jedyną rękojmią powrotu do życia Francji całej. Po tej wojnie nie może już być miejsca na podział Europy na nieuszczuploną Francję i okaleczoną Europę; świadczą o tem wymownie słowa i program Cordell Hulla. Tym razem Europa ma szanse pokoju w przyszłości, który zapanować może niezależnie od dawnych błędów polityków francuskich, albo jak to w wypadku p. Bure widzimy, wbrew dzisiejszym błędom publicystów francuskich.

Nie wiemy do jakiego stopnia p. Bure reprezentuje de Gaulle'a. Mamy nadzieję że naród francuski, który płaci niewolą również za zawstydzającą epokę handlu ideami i obcymi krajami, zrozumie lepiej Polskę, która przechodziła wielokrotnie tą samą tragedję co dzisiejsza Francja i zawsze umiała walczyć w obronie wolności—nie tylko własnej. Z cierpienia wyrośnie niewątpliwie Francja, godna swych ideałów, historji i wielkiej kultury. Francja szanująca wolność i prawa innych. Wierzymy, że powstający do życia naród francuski odrzuci metody handlu politycznego, któremi do dziś dnia operuje p. Bure. Bo tak jak bywało w przeszłości, wielkość Francji zrodzić się może i teraz tylko z wielkich idei.

OPINJE I ZDARZENIA

NOWY SZEF POLSKIEGO LOTNICTWA

Płk. Mateusz Iżycki, mianowany właśnie szefem naszych sił powietrznych, jest jedną z najpiękniejszych postaci polskiego lotnictwa. Jest to prawdziwy as lotnictwa, bohater kampanji wrześniowej, bohater obrony Warszawy, w której dokonał czynów najwyższego poświęcenia i odwagi; jak mało kto może też cn symbolizować pięknego ducha, ożywiającego naszą młodzież lotniczą i choć podchodzący pod pięćdziesiątkę i tak niezwykle doświadczony — płk. Iżycki, który wygląda niezmiennie na młodego porucznika — należy duchem do tej młodzieży.

Był on w Warszawie, z której obroną nazawsze związał swe imię — jedną z najpopularniejszych postaci wojskowych, jak będzie nią napewno teraz wszędzie gdzie są Polacy.

ZGON PROF. KOCHANOWSKIEGO

Do żałobnej, jakże szybko powiększającej się listy polskich twórców i myślicieli, zmarłych ostatnio w kraju, przybyło nazwisko prof. Jana Karola Kochanowskiego, wybitnego historyka i historjozofa, o którego śmierci w Warszawie dochodzi nas wiadomość.

Jego dzieła, oscylujące między czystą wiedzą a publicystyką historyczną były w swoim czasie szeroko czytane i dyskutowane, stanowiąc przyczynek do dociekań nad "duchem dziejów" czem się bardzo naówczas zajmowano i czemu jeśli o historję Polski chodzi szczególnie się oddali: Artur Górski i Antoni Chołoniewski.

Prof. Kochanowski wykładał na Uniwersytecie Warszawskim, którego był przez pewien czas rektorem. Był też pierwszym kanclerzem kapituły orderu Polonia Restituta.

KTO MÓWI PRAWDĘ?

W wywiadzie udzielonym korespondentowi "New York Times" dowódca wojsk polskich na Bliskim Wschodzie Generał Anders powiedział, że Niemcy wycofall z frontu rosyjskiego około 50 dywizji, aby wzmocnić swe wojska okupacyjne na Bałkanach i w zachodniej części Europy.

"Prawda" oficjalny organ rosyjskiej partji komunistycznej, rzuciła się z wściekłością na generała Andersa, zarzucając mu, że mówi nieprawdę i wprowadza w błąd opinję publiczną. Organ sowiecki skarży się, że Aljanci dotąd nie utworzyli drugiego frontu, co pozwala Niemcom na przesunięcie wielu dywizji z zachodu na wschód.

Lekceważenie przez Rosję kampanji wojennej we Włoszech i uparte twierdzenie, że kampanja ta nie jest pomocą dla Rosji — wywołało w krajach aljanckich zdumienie i oburzenie.

Tymczasem wszyscy eksperci wojskowi stwierdzają z całą pewnością, że posunięcia militarne Aljantów nietylko odciągnęły z frontu rosyjskiego znaczną ilość dywizji niemieckich, lecz że zmusiły Niemców do odwrotu na linję Dniepru, który to odwrót jest przeprowadzony przez sztab niemiecki planowo, celem zwolnienia wojsk dla obrony zagrożonego, zachodniego wału fortecy niemieckiej.

Handson Baldwin w "New York Times" z dnia 19 września napisał artykuł, który zawiera następujące myśli:

1) Rosja pragnie inwazji Francji poprzez kanał angielski, ponieważ w ten sposób teren inwazyjny byłby odległy od Bałkanów, które Rosja traktuje jako swoją sferę wpływów. Żądanie drugiego frontu ma więc nietylko powody militarne, lecz kryje w sobie motywy polityczne

2) Front włoski jest drugim frontem w Europie i jest bliżej Niemiec niż front rosyjski.

3) Efekt polityczny i psychologiczny kapitulacji Włoch w Rzeszy niemieckiej był znacznie większy, niż ofensywa armji rosyjskiej.

4) Kapitulacja floty włoskiej otworzy drogę konwojom aljanckim przez Morze Śródziemne, umożliwiając dostarczanie Rosji znacznie zwiększonego tonażu z lend-lease.

5) Kampanja włoska oraz zagrożenie Francji i Bałkanów zmusiły Niemcy do rozproszenia swych dywizji. We Włoszech samych znajduje się 15 dywizji niemieckich, pozatem trzeba było zastąpić włoskie dywizje na Bałkanach i we Francji.

6) Około 50 procent dywizji Osi znajduje się poza Rosją na skutek akcji Aljantów. Gdyby nie ta akcja, Niemcy mogliby posłać na front rosyjski dodatkowo około 50 do 75 dywizji.

7) Bombardowanie Niemiec jest właściwie blokadą od wewnątrz. Jej skutki w postaci nerwowego naprężenia narodu niemieckiego, zmniejsza produkcji wojennej a szczególnie w formie dezorganizowania komunikacji — wychodzą na korzyść armji rosyjskiej.

8) Lotnictwo aljanckie zmusiło sztab niemiecki do rozproszenia swoich eskadr. Więcej niż połowa niemieckiej siły lotniczej jest związana na Zachodzie, a niektóre z najlepszych niemieckich formacji lotniczych zostały ostatnio wycofane z frontu rosyjskiego.

9) Dzięki walkom i wysiłkom aljanckiej floty wojennej Rosja mogła być zaopatrywana w sprzęt wojenny.

10) Wszystkie te akcje Aljantów zapobiegły niechybnej klęsce Rosji.

ROSJA I TURCJA

Pismo rosyjskie "Wojna i klasy pracujące," znane z tego, że po kolei napada na sojusznicze i neutralne państwa, ostatnio na ofiarę swoich niedorzecznych ataków wybrało sobie Turcję. "Gdyby Turcja przystąpiła do wojny, klęska Niemiec byłaby przyspieszona" — powiada i zarzuca Turcji, że jej neutralność jest wyraźnie życzliwa dla Niemców.

Na to, pismo tureckie "Aksam" odpowiedziało: "Łatwo twierdzić, że neutralność Turcji jest korzystne dla Niemiec i łatwo chcieć nas popchnąć do wojny. Lecz trudno przewidzieć, ktoby z tego skorzystał, gdybyśmy naszą neutralnością poniechali. Rosja Sowiecka była zmuszona przystąpić do wojny w obronie własnej. Lojalna polityka Turcji w czasie tej ciężkiej wojny jest solidnym wałem bezpieczeństwa dla Rosji."

"Aksam" przypomina, że gdy turecki minister spraw zagranicznych Sukru Saracoglu udał się w roku 1939 do Moskwy, by pertraktować w sprawie zawarcia paktu wzajemnej pomocy, znalazł się w obliczu niemieckiego ministra spraw zagranicznych i opuścił Moskwę z pustymi rękoma.

Gdyby Rosja zawarła naówczas pakt z Turcją, będącą w sojuszu z Francją i Anlją, mogłaby zapobiec obecnej wojnie.

Sowiety popełniają stale jeden fatalny błąd: myślą że ich zdradliwa polityka z roku 1939 pójdzie w zapomnienie, jeżeli na wszystkie strony będą ciskały zarzutami

"DRUGI FRONT" — PRZECIW POLSCE

Najbardziej poczytny dziennik stolicy "Washington Times Herald" zamieścił w dzień czwartej rocznicy sowieckiego ataku na Polskę, dn. 17 września 1943 r. pełen gorzkiej a subtelnej ironji artykuł swego czołowego publicysty, Franka C Waldrop'a.

Oto artykuł:

Our great Russian allies aren't making any official to-do about it, but today marks the fourth anniversary of the first second front in the European war. Exactly four years ago today (September 17, 1939) Russian troops rolled across the eastern border of Poland and began to claw down the Poles from behind as they tried to stand up against Hitler.

People over here still do not know much about what followed, but reports by the Poles who escaped have run to the effect that the Germans and the Russians worked together nicely all through 1939 and 1940, exterminating those troublesome people who insisted on the idea of Poland as a nation.

In the city of Lvov, population prewar about 350,000, the Soviet troops are said to have shot almost everybody — schoolteachers, doctors, lawyers, newspaper editors, priests, merchants and well-to-do peasants — who might some day again plant the seed of revolt against the Russian "liberators" and speak up for the revival of Poland.

Polish embassy figures here reflect human misery as follows :

Approximately 1,500,000 Poles were deported from Russian-held territory into the vast empty spaces of back-country Siberia. About 15,000 officers of the Polish army and between 300,000 and 400,000 enlisted men were swallowed into Russian prison camps.

On December 4, 1941, the Polish government-in-exile at London, presented the Russian government with a list of the names of the 15,000 officers. In the spring of this year, the Germans claimed they uncovered the graves of 10,000 officers in a forest near Smolensk.

Both the German and Russian governments accuse each other of having murdered the Poles found in the Smolensk mass grave. Which did it is one for the historians to figure out. As for the Polish officers, they are dead and no trouble to anybody any more. Only a sorrow to surviving Poles.

As for the 300,000 or 400,000 enlisted men taken into Russia, only about 100,000 have so far come out. What has happened to the others? Of the 1,500,000 Poles of all classes taken to Russia, not a tenth are outside Russia today or identified within it.

And that, folks, is a summary of anniversary news on the First Second Front.

W PONIEDZIAŁEK 27go WRZEŚNIA WSZYSCY NA WYSTAWIE CZERMAŃSKIEGO

W poniedziałek nadchodzący, dnia 27go września, otwiera się w Nowym Yorku wystawa obrazów, satyrycznych i dramatycznych Zdzisława Czermańskiego, pt. "Famous and infamous" ("Sławni i niesławni"), zawierająca kilkadziesiąt jego najnowszych prac i będąca pierwszym tej klasy artystycznej i ideowej plastycznym obrazem toczącej się wojny.

Komu jak komu, ale naszym czytelnikom nie trzeba chyba tłumaczyć kim jest Czermański, jak nie trzeba tego mówić nikomu z Warszawy, gdyż niema warszawiaka, któryby kiedyś nie rzucał się na numer "Cyrulika" aby zobaczyć właśnie najnowszy rysunek Czermańskiego; Wystawa w Galleries of Modern Art (18 E. 57 St.) przypomina też nam wernisaże Czermańskiego w Zachęcie i w Ipsie, na których tłoczyli się kiedyś wszyscy od ministrów do sztubaków.

Poniedziałkowa inauguracja, której patronuje p. Ambasador Ciechanowski — będzie też napewno jedną z najtłoczniejszych polskich uroczystości i jednem z najbardziej nowojorskich wydarzeń, gdyż Czermański, ilustrator magazynów nowojorskich jest tu oddawna znany a jego tematy są pasjonujące dla wszystkich.

Na zaproszeniach nie jest powiedziane, czy będzie cocktail — radzimy więc przynieść butelkę w kieszeni.



PAKT PRZYPOMNIANY PRZEZ CHURCHILLA W QUEBECU

Pakt neutralności rosyjsko-japoński zawarty w Moskwie 13 kwietnia 1941. Podpisuje Mołotow. Stoją Stalin i Matsuoka.

PERSPEKTYWY WYBORÓW

Instytut Gallupa pragnął przekonać się, kto ma szansę zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych w zbliżających się wyborach. W ankiecie wymienił przypuszczalnych kandydatów, Willkie'go, Dewey'a i generała MacArthura, przeciwstawiając każdego z osobna Rooseveltowi.

Wyniki były następujące:

Roosevelt	58%
MacArthur	42%
Roosevelt	59%
Willkie	41%
Roosevelt	55%
Dewey	45%

Jak z tej ankiety wynika, Roosevelt ma szanse wygrania czwartej kadencji. Najsilniejszym wobec niego okazał się Dewey, następują MacArthur i na końcu Willkie.

Ale wśród farmerów największą ilość głosów uzyskał MacArthur, zwyciężając nawet Roosevelta. Stosunek głosów był następujący:

Roosevelt	44%
MacArthur	56%

HITLER BUDUJE SYNAGOGĘ

Są rzeczy o których się filozofom nie śniło — a jednak się zdarzają. Do takich paradoksalnych wypadków należy bezsprzecznie fakt budowania synagogi przez Hitlera za pieniądze... podatników niemieckich.

Historja należy do najnieprawdopodwobniejszych w tej wojnie: Jeden z samolotów niemieckich, wracając z nalotu na brzegi Anglji, wracał bezpieczniejszą drogą nad Dublinem, stolicą neutralnej Irlandji i "omyłkowo" opuścił kilka bomb, które wśród innych budynków zniszczyły również tamtejszą synagogę. Rząd de Valery energicznie zaprotestował przeciw jaskrawemu pogwałceniu neutralności i po wymianie not rząd niemiecki zobowiązał się spłacić szkody w całości. Wkrótce po tem oświadczeniu — przekazano z Berlina pieniądze do Irlandji. Kilka dni temu ukończono budowę nowej synagogi, której jedynym fundatorem stał się — Hitler.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Podobno tego samego dnia Józef Stalin zwołał Synod, dla wyboru patryjarchy kościoła prawosławnego w Rosji O ile można wierzyć plotkom — w niebie zapanowało duże zadowolenie, nie pozbawione szczypty złośliwości. (t)

"APOSTOŁ" SZALOMA ASZA

Wyszła właśnie z druku nowa powieść Szaloma Asza pod tytułem: "Apostoł", osnuta na życiu i dziejach myśli św. Pawła, jest dalszym rozwinięciem śmiałych idei filozoficznych, które Asz głosi i których broni pięknie od dłuższego czasu a których wyrazem były dwa poprzednie jego świetne dzieła: "Żyd psalmista" i "Nazarejczyk". Wspólna myśl tych trzech utworów jest to przekonanie o łączności najgłębszej Starego i Nowego Testamentu i o konieczności wskutek tego nawiązania jedności między judaizmem i chrześcijaństwem. Myśl tę wyraża Asz z najwyższym polotem pisarskim, wielką zarazem wiedzą teologiczną i natchnieniem mistycznym; jego dzieło jest między innymi w najwyższych sferach katolickich przedmiotem niezwykłego zainteresowania i jedne z najgłębszych recenzji jakie były mu poświęcone ukazały się w oficjalnym watykańskim "Osservatore Romano".

Do ostatniego, w najlepszym tego słowa znaczeniu, sensacyjnego utworu Asza — jeszcze na tych łamach powrócimy.

WIĘCEJ ZIEMI, WIĘCEJ ŻYWNOŚCI

Dr. Hugh H. Benett, kierownik "United States Soil Conservation Service" wystąpił z planem, który w ciągu dziesięciu lat ma zwiększyć produkcję rolną o 20 procent. Plan ten przewiduje wielką kampanję, która za pomocą lepszego naukowego wyzyskania ziemi, podniesienia wiedzy zawodowej farmerów, przeprowadzenie irigacji około 30,000,000 akrów uprawnej ziemi oraz zdobycia pod uprawę 12,000,000 akrów umożliwi wyżywienie stale wzrostającej ludności na świecie.

Niebezpieczeństwo braku żywności istnieje obecnie na całym świecie. Z 4 biljonów akrów ziemi na globie ziemskim, tylko czwarta część nadaje się pod uprawę. Te 4 biljony akrów mają wyżywić dwa biljony ludności, chociaż obliczenia wykazały, że trzeba więcej niż dwa akry, by wyżywić jednego człowieka. Tylko więc racjonalne, naukowe wyzyskanie gleby może uchronić ludzkość od klęski głodu. du.

GABINET SFORZY

Podobno utworzenie włoskiego gabinetu Sforzy, złożonego z przedstawicieli pięciu partji włoskich: katolików, demokratów, socjalistów, komunistów i Partji Czynu jest zasadniczo zdecydowane i uzyskało ono zarówno aprobatę Londynu i Washingtonu jak też milczącą zgodę Papieża. Mówi się też, że zajęcie Rzymu przez Niemców jest powodem iż Papież nie obstaje już przy zachowaniu dynastji sabaudzkiej i godzi się na plebiscyt co do formy rządu we Włoszech. Tak mówią...

PRZEPIS KUCHARSKI

Któryś z dziennikarzy francuskich w Quebecu zapytał na konferencji prasowej Churchilla, co stanie się z Francją po tej wojnie. Na co Churchill odpowiedział:

"Widzi pan. Na to mógłbym odpowiedzieć tylko początkiem przepisu kucharskiego na potrawę z zająca, który kiedyś czytałem w starej książce francuskiej:

"Najpierw trzeba złapać zająca".

WASHINGTON'S WONDERLAND

Prasa amerykańska opisuje zabawny fakt, który zdarzył się jednemu z najwybitniejszych profesorów Uniwersytetu Columbia. Profesor ów, światowej sławy ekonomista, zaofiarował w roku 1941 swoje usługi departamentowi stanu. Przez rok nie otrzymując odpowiedzi — pojechał sam do Washingtonu i po rozmowie z prezydentem Rooseveltem, który znał dzieła wielkiego uczonego, został natychmiast mianowany jednym z szefów wydziału ekonomicznego Departamentu Stanu

Kilka dni temu na adres prywatny profesora owego w Nowym Yorku nadeszło pismo od Departamentu Stanu, uzasadniające w niezwykle grzecznych słowach odmowę na jego propozycję z roku 1941. Pismo nadmieniło między innymi, iż "propozycję Pana rozpatrzymy w przyszłości, ze względu na nadmiar sił fachowych w obecnej chwili".

Zdziwienie profesora doszło jednak do zenitu, gdy przekonał się, że pod pismem figuruje jego własny podpis, jako szefa wydziału ekonomicznego Departamentu Stanu.

WYNALAZKI-WYNALAZKI

Wojna obecna okazała się niesłychanie płodną inspiracją dla amatorów-wynalazców. "Narodowa Rada Wynalazków", utworzona w roku 1940, otrzymała dotąd 160,000 wynalazków — wszystkie przeznaczone dla armji. Pomysły nadsyłają przeważnie amatorzy. Około 3 procent z tej powodzi mniej lub więcej fantastycznych pomysłów zostało przedłożone władzom wojskowym do ściślejszego przestudjowania. Spora ilość została przyjęta i znajduje się już w praktycznem użyciu, wśród nich elektronowy aparat do wykrywania min podziemnych.

POWIETRZA DLA PANA AMBASADORA!!!

Dziś już nie żyjący nasz ambasador przy Watykanie Władysław Skrzyński, jeden z najrozleglejszych umysłów polskich, intelektualista i znawca sztuki był bardzo lubiany przez nieboszczyka Papieża Piusa XI, który sam znawca literatury i naukowiec — chętnie z nim o tych swych pasjach rozmawiał.

Ambasador Skrzyński był jednak zarówno świetnym rozmówcą jak też i wielkim leniuchem. Biorąc za pretekst istotnie słabe swoje zdrowie i skłonność do przeziębień przedewszystkiem — rzadko kiedy prowadził audiencje i pielgrzymki polskie, wyręczając się w tem przez swych radców, tak, że Papież ku swemu żalowi rzadko go tylko widywał.

Któregoś dnia chodziło o tak ważną wizytę, że ambasador Skrzyński nie mógł się od swych obowiązków wymówić i przybrany w strój ambasadorski zjawił się na czele ważnej delegacji u Papieża. Kiedy Pius XI ujrzał go, najpierw radość, a później nagły błysk złośliwości zaświeciły w jego oczach. Pamiętając, że ambasador boi się t. zw. "przeciągów" Papież zawezwawszy służącego zawołał: "Otworzyć okna na oścież, Pan Ambasador potrzebuje powietrza."

Na co ambasador Skrzyński, schylając pokornie głowę odpowiedział:

"Wasza Świętobliwość wie dobrze, że jestem zawsze gotów umrzeć dla Kościoła".

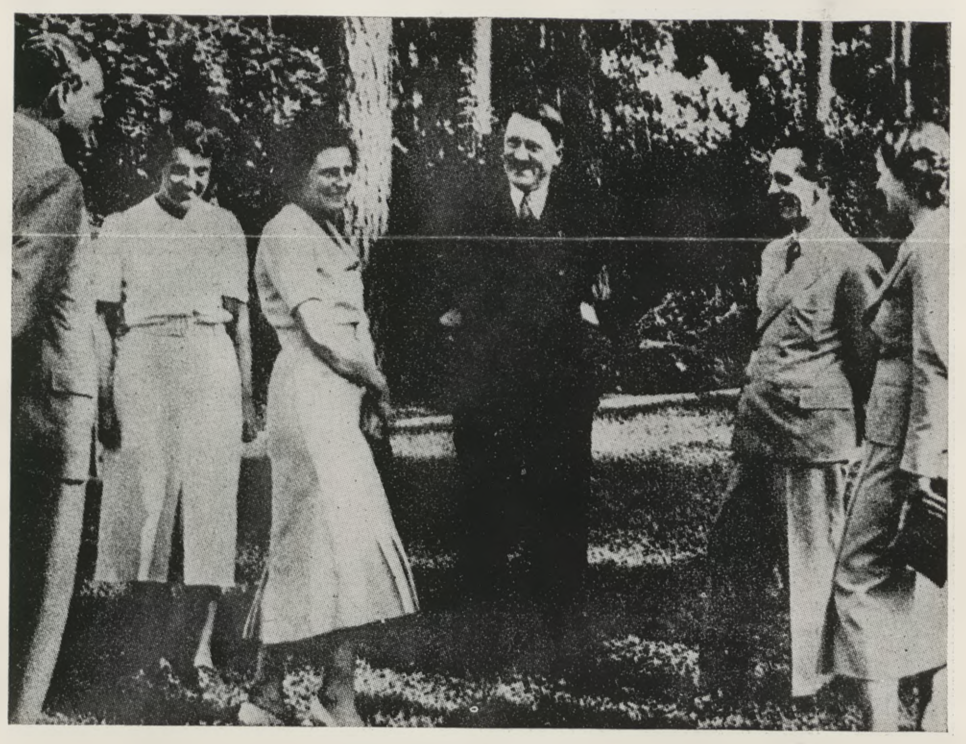
KAWAŁ DASZYŃSKIEGO

Wielki Daszyński obdarzony był niezwykłem poczuciem humoru, które stosował nietylko do swych przeciwników, ale które pozwalało mu też zachować sceptycyzm względem przesadnie zapalonych swych stronników. Kiedyś przemawiając na jakimś wiecu kobiecym tak w pewnej chwili zawołał: "Spójrzcie na te damy postrojone, myślące tylko o sukniach, jakby nie wiedziały, że nie suknia podnosi kobietę, ale kobieta podnosi suknię."

4-F .

W związku z dyskusją na temat reklasyfikacji poborowych i zwalniania z wojska — prasa amerykańska przypomina iż najwybitniejszym wodzom w historji świata pewne usterki fizyczne nie przeszkadzały w sukcesach wojennych. Stosując normy, żądane przez obecnych projektodawców w reklasyfikacji zwolnionoby z wojska następujące osoby: Georga Washingtona za posiadanie sztucznej szczęki, Bismarka za nadwagę, Napoleona za wrzody żołądkowe, Juljusza Cezara za epilepsję, Nelsona za brak jednego oka i jednego ramienia, księcia Wellingtona za niedostateczną wagę

TEN SIĘ ŚMIEJE KTO SIĘ ŚMIEJE OSTATNI



Hitler w roku 1939



Król Jerzy VI.

i



Król Haakon VII w roku 1943

TYGODNIK POLSKI
POLISH WEEKLY
Redakcja i administracja:
806 Lexington Ave., New York City
Tel.: Regent: 7-4168
Wydawcy: Koło Pisarzy z Polski Association of Writers from Poland.
Komitet redakcyjny: Zenon Kosidowski, Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński.
Prenumerata: mies. 40 cts — kwart. $1.20 — półr. $2.40 — roczn. $4.50.
W sprawie ogłoszeń prosimy porozumieć się z administracją.
W Detroit, Mich. sprawy "Tygodnika Polskiego" załatwia: Księgarnia Ludowa M. Żukowskiego, 5347 Chene Street — Tel. Plaza 2479.